

Genowefa Likowska

© ARCHIWUM WSCHODNIE 252

~~GENOWEFA LIKOWSKA~~ (z d. Ochnik, córka Antoniego i Zofii z Warpa-  
sów ur. 17. kwiecień 1922 Borowina Gąsecka, pow. Łuków /dziś :  
województwo Siedlce).

Rodzice moi pochodzą z wsi. Matka była chłopką matorolną ; oj-  
ciec bezrolnym chłopem. W 1924 r. ojciec wstąpił do Policji Pań-  
stwowej. Rodzice przenieśli się na Kresy w związku z podjęciem  
przez ojca służby. Przed samą wojną mieszkaliśmy w Kobryniu, a  
przedtym kolejno w Czerwiakowie i w  
Malczu pow. Próżana. Przed wojną skończyłam  
Gimnazjum czyli miałam małą maturę. Oczywiście nie należałam  
do żadnych partii politycznych, a należałam jedynie do ZHP.

#### Wkroczenie Armii Czerwonej

Najpierw do Kobrynia wkroczyli Niemcy, ale był to krótki e-  
pizod. Większy oddział zatrzymał się na Placu Traugutta. Widzia-  
łam dwu lub trzech Polaków - jeńców wojennych, którzy bardzo  
kontrastowali z dobrze ubranymi żołnierzami Wehrmachtu. Póź-  
niej widziałam jeńców - Niemców, i wyglądali w 1944-45 tak sa-  
mo. Każdy jeńiec nie wygląda najlepiej.

Pamiętam, że na Plac Traugutta przynosili kupcy żydowscy  
liczne dary. Klaniałi się Niemcom nisko, zgoła wiernopoddańczo.  
Trochę nas to nawet szokowało, ale myślałam, że chcieli ich do-  
brze nastawić, a przecież znali ekscesy nazistów wobec ludności  
żydowskiej w Niemczech.

O Kobryń toczyły się nawet ostre walki, a jedno z bitewnych  
starć odbyło się na naszym ogrodzie. Siedzieliśmy w piwnicy  
przerażeni, i słyszeliśmy huk, strzelaninę, wybuchy.

Później, to było chyba trzy dni, trwało "bezkrólewie". Nacjo-  
naliści ukraińscy urządzali w tym okresie liczne napady ; nie  
słyszałam, by napady były dziełem Białorusinów, bo to byli na-  
ogół ludzie spokojni. Natomiast Ukraińcy dyszelili nienawiścią

do wszystkiego co polskie, i to bez jakichkolwiek indywidualnych rozróżnień.

Weszli Rosjanie. Przedtym zrzucali ulotki z samolotów. Były one pisane po polsku /hm...hm.../, a nie widziałam nigdy pisanych i adresowanych do Białorusinów lub Ukraińców. Ulotki ~~zwracały~~ zwracały się do nas, agitując za akceptacją faktu wkroczenia Armii Czerwonej, oraz prezentując absurdalną dla nas stanowisko że oto ~~oni~~ nas "wyzwolili z kajdan polskich kapitalistów, ciemiężycieli itp". W dodatku ulotki były napisane okropną polszczyzną - tak, że raczej wywoływały uśmiech politowania, a później głośny śmiech moich rówieśników - z głupawej argumentacji.

Wkraczające oddziały były źle wyposażone, żołnierze ubrani marnie, i ze wszystkiego przebijała ogromna bieda. Płaszcze żołnierzy były obszarpane, a oni sami cuchnęli dziegciem. Kresy nie były obszarem zamieszkałym przez zamożną ludność, lecz kontrast był ogromny. Już choćby to, że karabiny nosili na sznurkach, a nie jak polskie wojsko - na rzemieniach. W dodatku mówili, że "u nas wsio jest". Było całkiem widoczne, że takie otrzymali zalecenie do rozmów z ludnością. Często nie wiedzieli, o co się ich pyta, a mówili - że "Sowieckim Sojuzie jest". Było wiele żartów moich kolegów.

Przez Kobryn przepływała średniej wielkości rzeka - Muchawiec, a dwie części miasta łączył drewniany most, który Wojsko Polskie w czasie bitwy z Wehrmachtem wysadziło w powietrze. Gdy na brzegu stały radzieckie czołgi - żołnierze zapewniali, że ich maszyny są tak sprawne, że bez kłopotów przejdą po dnie na drugą stronę. Oficer dał rozkaz, czołg ruszył przez rzekę i zaczął odrazu, wraz z załogą się topić. Było dużo rozgardzasu, bo maszynę trzeba było mozolnie przy pomocy lin i innych czołgów wyciągać z rzeki.

Jednym z ciężkich przeżyć - było przechodzenie dużej g



grupy b.więźniów wypuszczonych z nie tak bardzo odległej od Kobrynia Berezny Kartuzkiej. Nie pamiętam, jakiej byli narodowości - Żydzi czy Ukraińcy, lecz w każdym razie wykrzykiwali i wygrażali pięściami przeciw Polakom w ogólności, także wobec nas. Stałam w małej grupce koleżanek ze szkoły, a oni dobrze się orientowali, że jesteśmy Polkami. Nawiasem mówiąc zostały same dziewczyny, bo chłopcy z naszych klas zostali niejako zmobilizowani do oddziałów "PW" / Przysposobienia Wojskowego / i odeszli razem z wojskiem. Było to duże przeżycie ogromnej, niejako dotykanej nienawiści narodowej tych b.więźniów - co oczywiście nie mogło mieć cokolwiek wspólnego z internacjonalizmem, który oni zapewne deklarowali.

Później, gdy oddziały Armii Czerwonej wracały na teren ZSRR po wykonaniu zajęcia wschodnich Kresów, widziałam - jak wieźli na swoich konikach i marnych podwodach wszystko: od nocnika począwszy, do wiaderka i garnków, cokolwiek było z metalu i miało zastosowanie w gospodarstwie domowym. Był to powrót z "kupami", choć nie były one najlepsze i najbardziej wartościowe.

Kontakt z władzami i wojskiem właściwie nie było. Niedawno, w majątku ziemskim Chomiakowych - stacjonowała jedna jednostka Armii Czerwonej. Kiedyś jakiś oficer, mówili że to porucznik /nie orientowałam się wtedy w odznakach stopni wojskowych, bo były tak inne niż polskie/ przyszedł do nas i chciał nawiązać kontakt, ale to mu się zupełnie nie udało. Nikt nie chciał zbliżyć się z nimi. Można powiedzieć, że Niemców bano się - póki byli, a obecność Rosjan budziła przerażenie i zaskoczenie. Nie spodziewaliśmy się ich, i tego, że mogą tu zostać.

Moja matka wiosną 1939 r. miała proroczy sen. Przysniło się jej mianowicie, że wygląda przez okno i od zachodu widzi

nadchodzącego olbrzyma. Dodam, że matka nie mogła wiedzieć, jak wygląda Krzyżak, a z jej opisu wynikało, że nosił biały płaszcz a na nim czarny krzyż. Matka powiedziała do ojca - przerażona tym snem, że pobięła /we śnie oczywiście/ do okna od wschodu, a tam nadciąga taka sama postać, tylko w czarnym płaszczu i z białym krzyżem na nim. Wtedy powiedziała do ojca: "Zobaczysz, przyjdą do nas Niemcy, a ze wschodu Rosjanie...". Było to w marcu, gdy ogłoszono pierwszy pobór kilku roczników o charakterze mobilizacyjnym. Ojciec sen zbagatelizował: "Ech, co tam sobie gadasz. Bzdury senne!". Okazało się jednak, że tak właśnie się stało. Rzeczywiście przyszło do nas "to samo - tylko w innych strojach.

W czasie tych wydarzeń ojca nie było. Wyznaczono go do konwojowania ewakuowanych dokumentów urzędowych starostwa i PP. Po pewnym czasie wrócił straszliwie pobity przez bandę Ukraińców, którzy napadli i rozbili konwój. Rosjanie bez zwłoki od razu zamknęli ojca w więzieniu. Matka natychmiast zaczęła zbierać podpisy, by ludzie zaświadczyli, że ojciec nikomu nic złego nie zrobił. Zebrała, mimo takich trudnych warunków 150 ludzi, którzy podpisali się pod takim zbiorowym oświadczeniem, co oznaczało, że mój ojciec był rzeczywiście szanowany i lubiany. Po tej liście, choć straszliwie zabiedzony, otrzymał zwolenienie z więzienia. Nie cieszył się jednak zbyt długo wolnością, bo taka była metoda NKWD. Już 3 grudnia 1939 r. aresztowano go ponownie.

Po zajęciu naszych ziem - po pewnym czasie Rosjanie otworzyli gimnazjum. Można było się dalej uczyć - z tym tylko, że cofnięto nas o jedną klasę, bo mówili, że 10-latką to coś wyższego. Stosunki w szkole były okropne. Nowy <sup>dyrektor</sup> nauczyciel - nazywał się Goldberg i miał zgoła sataniczne oczy, chodził w mundurze wojskowym, z pistoletem przy pasie. Właściwie zionął do nas nienawiścią, i to okazywał nam przy każdej okazji. Właściwie miał nas uczyć marksizmu-Leninizmu, lecz krótko został mianowany dyrektorem. Baliśmy się go bardzo, bo bił i straszył pistoletem. Natomiast nasz daw-



ny dyrektor pan Fafara został "dyrektorem naukowym". Podobno później miał ogromne trudności zakończone zresztą wywiezieniem na Syberię. Atmosfera w gimnazjum była ciężka i trudna do zniesienia. Przykro to stwierdzić, ale koledzy narodowości żydowskiej byli niesłychanie aktywni w nieustannym pouczeniu nas szczególnie w sprawach politycznych, a przede wszystkim wytykaniu wszystkiego, co Polacy lub rząd polski rzekomo lub rzeczywiście źle robił. Były to oskarżenia jawnie przejawione. My zaś, jako młodzież nie mogliśmy być wogóle odpowiedzialni za te sprawy. Ta grupa naszych kolegów szkolnych miała różne doświadczenia i potrafiła sobie wszystko załatwić - np. dostać chleb, co nie było wówczas łatwe. Trzeba zaś dodać, że w Kobryniu niemal całe kupiectwo, rzemieślnicy a przede wszystkim wszyscy pośrednicy w handlu ze wsią - to byli Żydzi. Byliśmy zdumieni nagłą zmianą postawy naszych kolegów pochodzenia żydowskiego; przedtym stosunki wzajemne były życzliwe i koleżeńskie. Tylko dwu naszych kolegów pochodzących z Wielkopolski reprezentowało postawę antysemityczną. Reszta młodzieży - nie. Nasze środowisko w pełni przystosowało się do reguł społeczeństwa składającego się z wielu narodowości: Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Żydzi i trochę Rosjan. W tych "rozmowach" z zaczepiającymi nas kolegami szkolnymi byliśmy zastraszeni; niemożliwa była jakakolwiek dyskusja albo odpowiedź. Mogliśmy przyjąć tylko "winę" na siebie, choć nie było tak jasne, jaką i za co.

Szkoła absorbowwała czas niemal całkowicie: przed południem i po południu. Równocześnie, ponieważ zniesiono opłaty szkolne, przychodzili do gimnazjum /10-latki/ także całkiem do nauki nie przygotowani, a młodzieży w wieku odpowiednim było bardzo dużo. Szkołę zapełniali także uciekinierzy z Polski Centralnej, z za Buga. Utworzono więc w gimnazjum dwie zmiany. Poza tym urządzano, nie wiadomo w jakim celu, dzień w dzień tańcówki. Dyrektor kazał zamykać drzwi na klucz, żeby młodzież - głównie chodziło o dziew-

częta, nie wychodziła. Dziewczęta miały tańczyć z czerwonooarmistami, którzy specjalnie w tym celu byli sprowadzani. Miała to chyba być taka fraternizacja.

Sposób nauki bardzo szybko się zmieniał. Wprowadzono na początku język rosyjski, później ukraiński. Byliśmy z nimi osłuchani, bo słyszało się: na wsi ukraiński, a niektóre koleżanki były Rosjankami z białej emigracji. Wprowadzono naukę języka i zaczęto uczyć alfabetu. Po dwu tygodniach z rosyjskiego zrezygnowano i wprowadzono ukraiński jako wykładowy. Później zmieniono na białoruski - też na krótko, a wreszcie wrócono do rosyjskiego. Tworzyło to oczywiście ogromny bałagan. Religji oczywiście nie było, ale nie pamiętam już, czym zastąpiono historię. Była to chyba jakaś namiastka ekonomii politycznej.

Kościół w Kobryniu był czynny. Chodziliśmy na modlitwy znacznie gorliwiej, niż poprzednio. Zaopatrzenie sklepów stawało się coraz gorsze, bo nie odnawiano zapasów. Najlepsze towary zarekwirowali Niemcy, a zo zostało - zabierali Radzieccy. Ludzie sprzedawali co wartościowsze rzeczy. Np. moja matka, już nie pamiętam co, musiała sprzedać, żeby kupić drzewo opałowe, a zima była bardzo ostra w tym 1940 roku. Rósł także niepokój o nasze przyszłe losy. NKWD zaczęło wywozić leśników i osadników wojskowych, jako pierwszych, którzy później po 1945 r. nazywano "ewakuowanymi". Ładowano tych ludzi do

pociągów przy bardzo niskiej temperaturze. Mróz był ogromny, a oni jechali w nieznane. W Kobryniu ludzie pomagali sobie nawzajem. Wytworzył się czarny rynek. Ktoś przywiózł nam ziemniaki, mieliśmy trochę jarzyn z własnego ogrodu. Przed wybuchem wojny ojciec kupił pszenicę, którą schowano w wielkim kufrze na strychu. Było trochę zapasu miodu.

W tym czasie ojciec przebywał w więzieniu kobryńskim. Nosilałam mu paczkę. Kiedy przyszłam z drugą paczką, czekałam długo, aż wreszcie wartownik powiedział mi, że ojca już nie ma. Nogi się podemną ugięły. Czekałam, że już nigdy ojca nie zobaczę. Po dwu latach, gdy już byłam w Kazachstanie północnym, pracowałam w Delegaturze Am-



basady i prowadziłam kartotekę rodzin poszukiwanych. Zgłosił się jakiś człowiek, którego skierowano do "Ochnikówny". Okazało się, że siedział w więzieniu w Mińsku /białoruskim/ razem z moim ojcem : dużo szczegół<sup>ów</sup> znał o naszej rodzinie. Ojca zabrano do szpitala więziennego, bo był chory - i później ten człowiek stracił kontakt - nic o ojcu więcej nie wiedział. To także była ostatnia wiadomość o moim ojcu.

### Wybory

Usiłowano stworzyć w Kobryniu, zresztą także jak wiadomo na reszcie terytorium wcielonego do ZSRR pozory legalności, że niby ludność chciała tego wcielenia. Jesienią 1939 r. organizowano "Wybory". W tym celu organizowano bez przerwy wiece, na które spędzano wszystkich. Obecność była obowiązkowa, więc zastraszeni ludzie chodzili na te wiece. Charakterystyczne, że przemówienia <sup>wygłaszane</sup> /były po polsku. Treść tego była na początku dla nas niepojęta: mieliśmy radować się z tego, że zlikwidowano Polskę, że teraz należymy do Związku Radzieckiego - i że tu dopiero poznamy ,co to jest wolność i wyzwolenie klasowe. Nie wszystkie przemówienia wiecowe były wygłaszane dobrym językiem polskim. Przemawiali jednak także byli KPP-owcy, i to były najczęściej przemowy poprawne.

W czasie wyborów ludzie znajdowali się pod terrorem, i szli do lokali. Kto był chory, do tego przychodziła komisja z urną. Ludzie głosowali, bo inaczej nie było można. Także na wezwanie przy budowie kanału ludzie pracowali, byle się nie narażać. Przy wyborach było identycznie : traktowano to wszystko jako komedię, lecz protest byłby bezsensowny, więc uczestniczono w niej.

### Wywiezienie

Samochód podjechał do nas 13. kwietnia 1940 r. Walili kolbami w drzwi. NKWDyści krzykali: "Zabierajcie się!". To było trudne, gwałtowne przeżycie. Matkę ogarnęła panika, bo rozpadał się w gruz cały jej życiowy dorobek. Nasz niewielki, lecz własny dom - wybudowali rodzice ogromnym trudem, wielkimi wyrzeczeniami. Część ko-

sztów pokryła spłata z rodzinnego działu małego gospodarstwa w Jeleńcu pod Łukowem /ok.4,2 ha/ do podziału. Resztę rodzice zgromadzili surowym reżimem oszczędności, a było nas w rodzinie czworo dzieci. Były jeszcze pożyczki ciążące na nas za budowę. Gdy ojca wystano z konwojem dokumentów, matka dostała trzymiesięczną pensję ojca, jak wszystkich urzędników państwowych w 1939 r. Matka wzięła pieniądze i poszła do pewnego Żyda, który handlował kaflami - żeby mu zwrócić należność. On wtedy powiedział: "Pani Ochnikowa, pani teraz przynosi pieniądze? Pani ma czworo dzieci, a ojca teraz nie ma. Niech pani zostawi te pieniądze dla dzieci, bo mogą być potrzebne. Jak będzie już po wojnie, to pani je zwróci. Teraz niech pani zapomni, że ma jakiś dług!" Tak pięknie się zachował.

Wracając do wysiedlenia /"ewakuacji" !/ 13. kwietnia 1940 roku. NKWDyści powiedzieli nam, że nie zabierają za dużo, bo "na miejscu" wszystko dostaniemy. Zostawiliśmy wiele przedmiotów i rzeczy bardzo potrzebnych, a nie dostaliśmy. "na miejscu" absolutnie niczego. Ubrań i odzieży nie było w domu zbyt wiele, bo wszystkie oszczędności szły na budowę domu, a to było realne zabezpieczenie na przyszłość; ojciec zakładał jeszcze ogród - sad aby łatwiej było żyć, gdy będzie na emeryturze. Nic z tego wysiłku rodziców nie zostało.

Wpakowano nas do wagonów bydlęcych i staliśmy całym transportem na stacji kolejowej. Były roztopy i poprostu NKWD nie potrafiło na czas zwieść wszystkich nieszczęsnych przeznaczonych do transportu.

Wagon miał wewnątrz piętrowo ułożone deski. Miejsca zajmowali ludzie według tego, jak ich zwieziono. Było bardzo ciasno, choć wszyscy byliśmy sobie znajomi, bo z tego samego terenu. W tym samym transporcie jechały moje koleżanki szkolne. Ojcem jednej z nich był aspirant PP w Kobryniu, lecz on znajdował się po drugiej stronie Bugu. Matka drugiej koleżanki pochodziła z majątku ziem



skiego ,a jej ojciec był aptekarzem.

Zamykano nas w wagonach i pilnowano,by nikt nie wyszedł : ci pilnujący - to nie wiem, czy byli z NKWD czy z Armii Czerwonej, bo nie znałam się tak dokładnie na odznakach. Ludzie, których nie zabrano do transportu - mieszkańcy Kobrynia, przynosili nam jedzenie i picie, a radzieccy strażnicy - niektórzy, byli liberalni i pozwalali na takie kontakty.

Pociąg tego nieszczęścia był bardzo długi, pełen przede wszystkim kobiet, dzieci i starców. Najmniej było dorosłych mężczyzn, bo oni przeważnie zostali zamknięci w więzieniu. Umieszczono w transporcie także kobietę, która akurat zaczęła rodzić.

W czasie podróży zachorowałam na ostrą biegunkę z wysoką gorączką i dlatego z podróży niewiele pamiętam. Już z relacji matki i braci wiem, że dwa lub trzy razy dostarczono nam jakąś zupę, lecz nie pamiętam - czy ją jadłam. Można było nabierać na stacjach, kąpiatoku. Przez całą drogę nic nie gotowano, bo nie było możliwości. Tymczasem w transporcie znajdowali się również ludzie bardzo chorzy, których wnoszono przy załadunku do wagonu, bo nie mogli się poruszać o własnych siłach. Jechaliśmy mniej więcej dwa tygodnie. Przypuszczam, że jechaliśmy trasą przez Czela-  
bińsk. Pamiętam jeszcze przejazd przez Ural, ponieważ po raz pierwszy w życiu widziałam góry. Wychowana na nizinach, nie byłam przyzwyczajona, by widzieć odległe w dolinie domki - małe, jak zabawki. Tylko, to także pamiętam jak przez mgłę, choć wtedy zaczynałam zdrowieć - ludzie jakoś w naszym wagonie stawali się pogodzeni z losem. Już wiedzieli, że jadą na Syberię, rozpacz mieli za sobą, jak i utratę własnego domu, a przed sobą nieznaną tu-  
łaczkę. Pociąg zatrzymywał się na stacjach, lecz stawał zawsze gdzieś na skraju, że nawet nie można było odczytać nazwy. Była to podróż do nieznanego piekła.

Przywieziono nas do Akmołęńska /dziś : Celinograd/ czyli miasta ,siedziby obwodu.Stamtąd powieziono nas ciężarówkami do posesiadka nr.27 /wsie nie miały nazw,a tylko numery/ położonego na północ od Akmołęńska. Byli już tam tzw. "Zabajkalcy" przywiezieni na to miejsce w 1934 w ramach walki z kulactwem; byli ,zupełnie nie wiadomo dlaczego - a porozumieć się było trudno Buriaci ze wschodniej Syberii,oraz kubańscy Kozacy także w ramach "rozkułaczenia" przywiezieni z ciepłych regionów południowych w zimny,suchy step.Mieszkań oczywiście żadnych nie było,ani baraków.Poprostu utykano nas po różnych rodzinach, które chcąc nie chcąc musiały nas przyjąć do swoich izb.Wydaje się, że oni doskonale pamiętali swój los - i przynajmniej ta rodzina z Kubania,u której mieszkaliśmy na początku,okazywali nam zrozumienie dla naszego smutnego losu i byli niezmiernie życzliwi i pomocni.Kiedy było zimno w izbie,zapraszali moich braci na piec do spania.<sup>Mysmy mieszkali w</sup> kuchni w tzw."letniej

Domy /chałupy/ były wykonane z "samanu".Tak nazywano coś w rodzaju ogromnych cegieł,które lepiko się z gliny mieszanej ze słomą.Taką mieszanię wyrabiano się nogami,a przy bardziej "uprzemysłowionej" produkcji funkcję mieszania wykonywał koń. Jednak bardzo wiele kobiet z naszego transportu deptało nogami mieszanię gliny i słomy, lepiko duże ,prostokątne bryły,które szybko wysychały na palącym słońcu ; produkcję prowadzono oczywiście tylko latem. Podłogi nie było żadnej.Na górze - dach wspierał się na żerdkach.Skąd je sprowadzano,doprawdy nie wiem, bo w okolicy brakło jakichkolwiek drzew.Dach tworzyła trzcina, której dużo rosło na brzegach Issymu. - całkiem niedaleko od posesiadka 27. Domki wyglądały na pierwszy rzut oka ,jakby były z cegieł,lecz w istocie były to przecież lepianki.Dobrze było, że do wody /z Issymu/ nie było zbyt daleko.To w Kazachstanie było niejako "wygodne", jeśli tak można to określić.



Zaraz po zakwaterowaniu - wszystkich spędzono do "klubu", on także był zbudowany z samanów. Była to izba ca 40-45 m kwadratowych, przeznaczona na zebrania. W jednym rogu był "czerwony kącik", który faktycznie był czymś w rodzaju okazyjka z portretem Lenina wyciętym z jakiejś gazety ilustrowanej. Wiek spędzono wszystkie Polki z rodzinami, bo ojców jak podkreślałam - tam nie było. Wystąpił, to był chyba podoficer NKWD - tzw. "komendant posesiołka" w towarzystwie przewodniczącego kółchozu. Przemowa była jednoznaczna. Powiedziano nam, że nasi ojcowie już "trątki suszą" /czyli "suszą omuce" co było synonimem "oglądają trawkę od spodu"/, i nie ma co na nich czekać. Trzeba się więc zabrać do normalnej roboty, jakby tu żyć przez najbliższe lata. Oni mówili: "na zawsze", co nas wszystkim dreszczem przenikało.

Od dawnych mieszkańców dowiadaliśmy się, jak postępować. Najprzód trzeba było zbudować chatkę z samanów. Później latem zgromadzić zapas "kiziaku" czyli odchodów bydłych, które pod palącym słońcem w suchym klimacie wysychało na wiór i dobrze się paliło - jak papier. Dlatego trzeba było kiziak mieszać z ziemią i słomą; powstawały w ten sposób swoiste brykieciki, które dobrze służyły jako ogrzewanie. Tylko z "kiziakiem" nie było łatwo. Trzeba było przejść po stepie wiele, wiele kilometrów - by przynieść worek tego paliwa.

W chwili wywiezienia moi bracia mieli - Kazimierz lat siedemnaście, Marian piętnaście lat, a Henryk 13 lat. Najmłodszego skierowano do pielienia warzyw i drobnych prac polowych, a starszych braci wzięto do budowy kolei. Matka była tym faktem całkowicie przerażona, bo obaj bracia sami pojechali na tę budowę. Wyprzedła trochę naszego nędznego dobytku, by im kupić chleb. Nic innego kupić nie mogła, bo poprostu - nie było. Reszta Polaków zachowywała się tak: trudno - przywieźli nas, musimy jakoś zarobić na strawę, więc trzeba pracować. Gdy wypędzano do pracy, szli

i starali się pracować na polach kołchozu.

Wytłumaczono wszystkim, że "rok obrachunkowy" będzie w styczniu przyszłego roku; do tego czasu musimy sobie jakoś dawać radę, i wtedy dostaniemy wynagrodzenie za pracę, a to w zależności od tego, ile dniówek wypracujemy - oraz ile ta dniówka będzie wnosila w przeliczeniu na pieniądze i ziarno. Ludzie pracowali nawet w miarę solidnie, jak na takie warunki - a musieli wszystko sobie kupować: mleko, pszenicę na "lepioszki", chleb - bo przydziałów nie było. Ciagle coś sprzedawaliśmy, stając się coraz biedniejsi. Początkowo chleb był dobry i w smaku przypominał nasze grahamki. Później, ponieważ było zbyt mało mąki, zaczęto dodawać różne domieszki - chyba zmiotki z ~~pszanek~~ podłóg młyna. W końcu był już taki, że nie można go było gryźć: trzeba było moczyć i rozcierać o podniebienie. W 1941 r. już panował na naszym posiołku głód. Ludzie puchli i umierali z głodu. Sama nie zdaję sobie sprawy, w jaki sposób przeżyliśmy ten okres.

*w 1940 r.*

Mnie i moją koleżankę wywieziano do budowy poczty w Akmo-  
lińsku. Był problem, bo dawano jedzenie tylko raz dziennie, a do-  
kupić nie było za co - i nam nie płacono. Byliśmy oddani do dys-  
pozycji przez kołchoz. Na głodnego trzeba było nosić cement. Dwa  
razy zemdlalam. Stamtąd zabrano nas na sianołkosy - na stanicę  
położoną jakieś 30 km od posiołka nr. 27. W tym czasie moich bra-  
ci zabrano do prac żniwnych. Nikt nie był blisko domu, wśród swo-  
ich, co pogarszało naszą sytuację. Blisko domu pracowały w warzyw-  
niku - tylko kobiety, które miały dzieci - a dzieci były w żłob-  
ku. Nad zdrowiem "czuwała" lekarka, pewnie także zesłana - lecz  
ona bardzo poważnie i ofiarnie traktowała swoje obowiązki. Zre-  
szta na naszym posiołku - chyba wszyscy należeli do kategorii  
zesłanych, a przedstawiciel NKWD, nadzorujący zarówno przewod-  
niczącego kołchozu, jak i nas - też pewnie komuś się naraził, że



przystano go do takiego zajęcia.

Zapomniałam powiedzieć, że przed tym zebraniem w "klubie" wykonano nam seryjne zdjęcia fotograficzne i wręczono później radzieckie paszporty z adnotacją "bez prawa wyjazdu z rejonu Akmolińsk w obwodzie akmolińskim". Uniemożliwiało to wyjazd koleją, bo biletu nikt nie sprzedał bez przepustki specjalnej lub dowodu, gdzie takiej adnotacji nie ma. Także na przejście po żywność do Akmolińska i sąsiadów - trzeba było mieć zezwolenie "komendanta" NKWD, ale tego nie przestrzegano w praktyce.

Kilka słów o drobnych, lecz charakterystycznych wydarzeniach z naszego pobytu na posiołku, którego liczby mieszkańców nie potrafię określić dokładnie, lecz przypuszczam - że było ich ok. jednego tysiąca. Oprócz naszego transportu było kilka rodzin żydowskich i białoruskich; podobno były to rodziny osób, które posadzano /przez NKWD/ o współpracę z polską policją. W takim wypadku, jeśli np. wnuk miałby być konfidentem - wysiedlano do Kazachstanu rodziców, zamieszkałą razem babkę, a także dzieci; sam konfident wędrował za kraty. Z rodzinami Żydów nie było w ogóle żadnej łączności; z Białorusinami - raczej oszczędne - brak było wzajemnego zaufania. Najwięcej zaufania budziły w nas i wzajemnie rodziny tych "rozkułaczonych" z 1934 r.

Tu warto opowiedzieć wydarzenie z Wala, córką Kazancewych - którzy dobrze opiekowali się nami na początku i byli nam niezwykle życzliwi. Poszłam w niedzielę z Wala w step. Była wiosna, a wtedy staje się on piękny, w barwach jak wspaniały dywan. Siedzieliśmy na niewielkim, łagodnym wzniesieniu i nikogo wokół nie było. Wdałam się z Wala /jak potrafiłam po rosyjsku/ w rozmowę. Ona mówiła, ja tu teraz pięknie, a ja powiedziałam, że u nas w Polsce są drzewa lasy, rzeki i rzeczutki, i tam jest pięknie. "Dlaczego nas tu przywieźli w obcy step, pozbawiając Ojczyzny?". Na to Wala zaczęła histerycznie szlochać

a ja próbowałam ją uspakajać: "Co tobie, Walu, uspokój się, czemu tak nagle płaczesz?". Ona zaś poprzez swój szloch powiedziała coś takiego: "Ty mi tu opowiadasz.... a ja... ja... jutro będę musiała... pójść do NKWD i powiedzieć...". Byłam zaszokowana i ledwo zdołałam powiedzieć: "Ty Walu poszłabyś do NKWD donieść na mnie? Twój rodzice są tak życzliwi dla nas, i dobrzy, a Ty miałabyś pójść do NKWD?". A ona po długim szlochaniu: "...a...a jeśli ty pójdziesz pierwsza?". Muszę powiedzieć, że nie poszła, nie doniosła, lecz treść tego wydarzenia w pełni zrozumiałam dopiero po długim czasie. Z Walą jednak, która była bardzo sympatyczna, starałam się nie kontaktować, mimo wszystko.

Niedaleko od naszego posesiłka nr.27 - jakies pięć kilometrów - był "Aul nr.5", który zamieszkiwali Kazachowie. Był to, jak wiadomo, koczowniczy, których władza radziecka zmusiła do osiedlenia na długim trybie życia gdzieś w latach trzydziestych. Nigdy się z tym /przynajmniej w czasie naszego pobytu/ nie pogodzili, i ani ten kraj w gruncie rzeczy, ani oni sami nie byli przystosowani do prowadzenia osadnictwa rolniczego. Wprawdzie to wymagałoby dokładniejszej analizy, lecz napewno jest prawdziwe. Z tymi Kazachami handlowało się starymi rzeczami, które przywieźliśmy ze sobą. Była to używana odzież, czasem sprzęt gospodarski, a w największej cenie były kilimy ludowe i dywany. Dostaliśmy bodaj całą furę "kiziaku" za miedzianny czajniczek, który ojciec przywiózł z pierwszej wojny światowej. Pewien czas później zobaczyłam w rękach Kazaczki ten nasz dawny czajniczek - gdy szła do miasta. Nagle zeszła na bok trasy, kucnęła /nosiły szarawary rozhyłane, więc nie miała problemu/ z oddaniem moczu, a następnie z niesionego czajniczka nalazała sobie wody na dłoń - i w ten sposób obmyła. Oni, ci Kazachowie w ogóle utrzymywali ogromną czystość genitalii. Wcale nie rzadko można było zobaczyć, jak wnuczek polewa wodę dziadkowi - nie krępując się wcale tym, że na widoku publicznym niemal



obmywa się rano w miejscach wstydlivych. Czasami młodzi Kazachowie przyjeżdżali do naszego posiołka. Popisywali się jazdą konną. Chcieli zabierać na koń dziewczęta. Mnie także usiłował jeden z nich /okropny!/ wsadzić na swego konia, lecz powiedziano nam wcześniej, by żadna tego nie robiła, bo mogłoby się to skończyć porwaniem i niejako "przymusowym małżeństwem".

Jednak poza handlem i "kontaktami", jak przed chwilą opisany, innych z Kazachami nie było. Brak także było donosów, jakichkolwiek z ich strony. Przy okazji handlu byli gościnni, częstowali kumyssem, herbatą, a nawet baraniną, jeśli była.

Zimą trudno było wogóle wychodzić z chałupy zbudowanej z samanów. Przedewszystkim nie było poprostu w czym. Nogi owijaliśmy szmatami i sznurkiem, a w takim "obuwiu" przy wielkich mrozach oczywiście daleko zajść nie było można. Brat <sup>Marian</sup> średni, z trzech braci niewątpliwie najsilniejszy, nosił wodę z Jrymu. Zimą był ogromny problem z praniem, bo nie było mydła, a i wody trzeba było znacznie więcej. Tymczasem mieliśmy potworne wszy. Widziałam w aule Kazachów, jak kobiety brały brzegi odzieży, w których gnieździło się najwięcej wszy oraz jajeczki tych insektów, i zębami // <sup>je</sup> miażdżyły, bo to był podobno najszybszy sposób. Nikt z nas, Polaków nie zdobył się na zastosowanie tej metody. Opału na zimę nie zdołaliśmy zgromadzić wystarczająco wiele. Gotowaliśmy więc tylko raz dziennie - "zacieruchę" z mąki. Mieliśmy takie miseczki, i do każdej z nich matka dolewała - niejako na okrasę, jedną łyżkę mąka. Więcej poprostu nie było. W tamtym czasie pamiętam moje makabryczne sny głodowe. W nocy śniły mi się kiełbasy, pieczenie, kury i inne nadzwyczajności zupełnie nieosiągalne w Kazachstanie. Wstawaliśmy zimą bardzo późno, żeby jak najdłużej nie palić w piecu - żeby nie jeść. Jadło się raz - tylko około południa. Nigdybym nie uwierzyła, gdybym sama przez to nie przeszła, że można przy takim odżywianiu przetrwać w surowym, nadzwyczaj ostrym, mroźnym klimacie.

Ta zima 1940/1941 była okropna. Kołchoz zajmował się produkcją zboża. Były także w kołchozie krowy, lecz ~~blakło~~ zimą ~~pa-~~ szły. Wycieńczone głodem podwieszano na pasach, żeby nie padły, bo już wtedy nie podniosłyby się wogóle. Do chlewów i obór ludzie szli przywiązani za pas sznurami - żeby w razie czego można było delikwenta  odszukać. Wiatry /"burian"/ były silne, a sy- piący śnieg składał się z mocno zmarzniętych kryształków, które raniły skórę na twarzy i uniemożliwiały patrzenie. Człowiek od- ruchowo odwracał głowę i gubił z tej przyczyn<sup>y</sup>/kierunek. Moja mat- ka wyszła kiedyś bez sznura, i tylko razem z braćmi przypadkiem ją odnaleźliśmy w takiej sytuacji. Innym naszym rodakom, którzy lekkomyślnie wyszli z chałupy, choćby za swą potrzebą, nie odnaleź- li drogi i zostali zasypani śniegiem. Odnaleziono ich dopiero po roztopach. Należy jeszcze dodać, że chałupy były całkowicie zasypane śniegiem, i tylko kominy wystawały. Wychodziło się z chałupy-lepianki - w gęsty śnieg, ubity i twardy.  Prze- kopywa  głębokie korytarze, w których szło się, jak w wąwozach.

Życie na posesioku nr. 27 - w ogólności było wegetacją. Były jednak nauczycielki i prowadziły <sup>czasem</sup> zajęcia szkolne.  Wszyscy Polacy mieszkający blisko siebie zbierali się na modlitwy, róża- niec. Zaczęły się zbiorowe modlitwy w październiku. Modlono się o powrót do ojczyzny, o przeżycie najbliższych,  o wyzwolenie z niedoli i nędzy. Sporo ludzi starszych lub choć trochę cho- rych - umarło już na początku. Kto miał czynne ognisko gruźlicze - albo zdrowiak, albo natychmiast umierał : stan się pogarszał takich ludzi wręcz błyskawicznie. Lekarka mówiła, że to wynik ostrego klimatu. Zmarłych chowano na miejscowym cmentarzu, lecz nie pamiętam - by były trumny.

Z tego pierwszego okresu pamiętam jeszcze, że zaraz po tym, jak nas uczyniono obywatelami ZSRR /ponownie, bo przy wyborach w Kobryniu faktycznie też nas wcielono do tego kraju/ - wezwano



moją matkę i kazano przyjąć "odszkodowanie" za mienie pozostawione w Kobryniu. Przygotowano dokument według którego należałoby się matce za nasz domek i ogród 250 czy 350 rubli. Moja matka nie chciała pieniędzy przyjąć, bo mówiła - że nie ma zamiaru do mu sprzedawać nikomu. Ta zapłata zaś nie stoi, mówiła, w żadnej proporcji do tego, co zostawiła. Rzeczywiście, za 250 rubli można było wówczas kupić w Kazachstanie dwa lub trzy bochenki chleba. Wtedy matkę postraszone i dano jasno do zrozumienia, że jeśli nie podpisze - "to oni wiedzą, co z nią należy zrobić". Matka moja była inwalidką po chorobie Heine-Medina, choć częściowo przeszła samo-rehabilitację. Miała wówczas 45 lat, i wzięła tę nędzną rzekomą zapłatę za dorobek swego życia, bo nie mogła inaczej.

Kiedyś w czasie pierwszego okresu pobytu poszliśmy z moją przyjaciółką Marysią Suracką, córką ppłk. z Kobrynia /poległ pod Żyrardowem w 1939 r./ do wsi Maksimowka. Marysia była wywieziona tym samym, co ja transportem. Więc chcieliśmy w Maksimowce wymienić ręczniki na żywność. Posiołki z numerami - były dla ludzi "niewolnych", a z nazwami pochodziły z okresu osadnictwa z czasów reformy Stołypina /1907-1908/. Maksimowka była lepiej zagospodarowana i były tam, co dla nas na stepie było o dziwo - osobliwością, drzewa. Tylko dodać trzeba, że drzewa musiano przez długie lata sztucznie podlewać, by korzenie dotarły do wód gruntowych. W Maksimowce było również biednie, lecz jednak zagospodarowanie było na zupełnie innym poziomie.

Rok obrachunkowy skończył się dla nas fatalnie. Okazało się, jak to również bywa - wiem to z późniejszej lektury historii gospodarczej - na wielkich plantacjach np. w Brazylii lub w Afryce, że nie mamy nic do dostania z kłochozu, tylko my jesteśmy winni kłochozowi. Dla nas było to oczywiście nie do pojęcia. tłumaczono nam, że urodzaje były marne, a przecież przez cały czas dostawaliśmy jakies

tam jedzenie i chleb, a nie płaciliśmy za nie. Okazało się w końcu, że kolchozowe reguły w Kazachstanie są dziwne, że ciężka praca nie wystarcza, by jakoś przetrwać. Najprzód wszyscy zaczęli płakać, gdy im taki obrachunek publicznie przedstawiono, a później zaczęli się śmiać, i traktowali to całe obliczenie jako jeszcze jedną okrutną kpinę i szykanę ze strony władz.

Trzeba parę słów poświęcić mojej rodzinie, a przede wszystkim dwumbraciom. Średni Marian nie miał szesnastu lat, gdy jako pierwszy podjął próbę ucieczki z Syberii. Chciał dostać się do dziadka, który mieszkał pod Łukowem, wówczas w Gubernii Generalnej, za linią Bugu. W miesiąc później uciekł starszy brat, który miał wtedy prawie osiemnaście lat. Pierwszego złapano już gdzieś na wysokości Moskwy. Nie miał oczywiście jeszcze paszportu, i nie ukończone 16 lat /lutym 1941 r./, a wyglądał na chłopca jeszcze młodszego, bo był wychudzony głodem. Matka prosiła, błagała, żeby nie wyjeżdżali, bo bała się o ich los. Oni mówili, że nie mogą wytrzymać w Kazachstanie, i dlatego uciekają.

Brat mój Marian przebywa w Kanadzie, bo wydostał się z obozu wskutek amnestii i znalazł się w II korpusie gen. Andersa. Opowiadał nam po latach, że milicjant, który go prowadził do więzienia w Moskwie, już po osądzeniu na trzy lata obozu - powiedział: "Chłopcze, uciekaj póki sił!" - ale on bał się, a poza tym był straszliwie głodny, apatyczny i zmaltretowany. Milicjant wziął go pod ramię i wręcz płakał. Widocznie zdawał sobie sprawę z tego, jaki los czeka chłopca. Marian natomiast wierzył, że jeśli milicjant tak mu współczuje - to go chyba nie zaprowadzi /o święta najwności!// - tam, gdzie go spotka coś złego. Gdy już znalazł się w łagrze na Dalekiej Północy, większość osadzonych Polaków już zęby potraciła. Chleb był twardy i zmar-



znięty, więc ci dogorywający biedacy nie mogli już jeść. Oddawali swoje mini-przydziały Marianowi. Mówili: "Ty jesteś najmłodszy, może więc przeżyjesz, a z nas już nic nie będzie". Chyba dzięki temu wsparciu o d-esperackim przecież charakterze, wogóle przeżył te pół roku w obozie. Już po takim czasie sierpiał na straszny szkorbut. Długo po powrocie do Kazachstanu wszystkie zęby mu się chwiały, a sine plamy na nogach miał jeszcze trzydzieści lat po wojnie, po walkach pod "obrukiem, pod Monte Cassino. Teraz nie chce o pobycie w obozie wogóle mówić. Na początku 1989r był u nas jego syn, mój bratanek. Nie widziałam go prawie dwadzieścia lat /ma teraz 28 lat/, i nawet nie wiedział, co ojciec rzeczywiście przeżył - o tym dowiedział się dopiero odemnie. Gdy przed dwudziestu laty byłam u niego w Kanadzie, prosiłam, by coś więcej opowiedział o obozie za kołem podbiegunowym. Odparkł krótko: "Jeśli jest piekło, to ja to piekło przeszedłem". I nie chciał nic więcej powiedzieć. Dodał jeszcze, że gdy zaczyna wspominać, zaczyna się ekscytować i później długo nie może spać, dlatego woli nie wracać do tego. Oceniam, że dziś Marian jest ciężko zwichniętym człowiekiem - właśnie przez pobyt w sowieckim łagrze, i to akurat we wieku, jak on. Młodzi ludzie źle znoszą obóz - w skutkach psychicznych. Dawniej był to chłopak bardzo wesoły, dowcipny, a gdy wrócił na posesję nr. 27 - był już smutny, i często zamyślony, i tak już pozostało. Przez Anglię wyjechał do Kanady. Na początku dorobił się dość szybko, ale później zaczął sięgać po alkohol, co podobno jest częstą reakcją poobozową. Serce mu zaczęło dokuczać. Był operowany na serce /wszczepienie krążenia obocznego - "by pass"/, i teraz jest kombatantem-emerytem, ale tak naprawdę - myślę, że w rzeczywistości zmarnował go ten sowiecki łagier.

Natomiast drugi mój brat został złapany na granicy - tej dawniej między ZSRR a Polską, i osadzony w więzieniu. Krótko po tym wybuchła wojna - i Niemcy wystąpili w charakterze wyzwolicieli. Przeskukiwali każdego więźnia za co został zamknięty. Gdy dowie-

dzieli się, że za ucieczkę z Kazachstanu czyli z Syberii - zwolnili. Zapytali, gdzie mieszka i chcieli go wykorzystać; z ich pytań wynikało, że chcą go wykorzystać dla celów propagandowych, by jeździł i opowiadał, jak wygląda wszystko w Związku Radzieckim. Dano mu ubranie, nieco odżywiono, lecz gdy przyjechał do dziadka /powiedział zaś, że przed wojną mieszkał w Kobryniu, więc Niemcy nie mogli go znaleźć pod Łukowem/ - Polacy ostrzegli go, by nie szedł na żadną formę "propagandowej" wspólpracy z Niemcami, bo każdy powie, że to kolaboracja z okupantem. Żeby zatrzeć ślady, uciekł do rodziny ze strony matki, a później jeszcze dalej, żeby przetrwać i nie pomagać Niemcom.

#### Aresztowanie i wzięcie

Po mnie przyszli 13 kwietnia 1941 r. Z samego rana załomotali do drzwi <sup>- NKWD w cywilu.</sup> Było jeszcze bardzo zimno i leżeliśmy. Matka otworzyła i okazało się, że mają **nakaz** aresztowania mnie. Powodu - takiego realnego, namacalnego - oczywiście nie było. Przypuszczam, że chciano odwetowo ukarać rodzinę, której członkowie uciekają. W czasie pobytu na posiołku nr. 27 pisałam listy-pamiętniki. Zabrano te listy w rewizji, jako "dopody rzeczowe" - chyba mojej tęsknoty za Ojczyzną, co było dla nich czynem karalnym. Zabrano także listy, które przychodziły do mnie od kolegów i krewnych z Polski. Oskarżono mnie niejako standardowo - o...szpiegostwo, a także o terroryzm, co już było całkowicie absurdalne. Powiedziano mianowicie, że ja oraz <sup>Jurek</sup> pewien (Snieżko-  
(1.20) błocki) i Irena Jackowska /wówczas 24 l./ żona oficera, wywieszaliśmy "ulotki" o treści, której nawet byśmy nie podejrzewali. "Niech żyje 3 Maj - precz z komunizmem!". To, że nikt takich ulotek nie widział, nikomu nie przeszkadzało w postawienie idiotycznego zarzutu. Gdy zaczęto mnie przesłuchiwać i przymuszać do przyznania /nie biło mnie/ - powiedziałam po rosyjsku, bo w cza-



sie tego śledztwa mocno poprawiłam sobie język rosyjski z konieczności samoobrony: " A jak miałam wziąć papier, naczelniku?". Oczywiście uwaga była słuszna, bo papieru rzeczywiście wogóle nie było. Na to śledczy: "Małczy, jebut twoja mać!". Szpiegostwo w interpretacji tegoż śledczego polegać miało na tym, że pisałam o tym, że źle jest nam na Syberii, i nie mamy co jeść /zgodnie zresztą z powszechnie znaną prawdą/. Usiłowano mi wmówić, że byłam z innymi w zмовie.

Najpierw osadzono mnie we więzieniu ogólnym. Była tam taka ciasnota, że trzeba było się na komendę obracać, a spać można było tylko na jednym boku. Prycze były piętrowe, a pluskwy wprost potworne. Na posiołku panował głód. Chleb, jak już wspominałam - nie dawało się inaczej jeść, jak rozmoczony, rozarty o podniebienie, by wykruszyć piasek. W więzieniu otrzymywaliśmy biały chleb - który wydawał mi się wtedy luksusem zupełnie niezrozumiałym. Nie wiedziałam wtedy, oczywiście, że było to celowe. W takim białym chlebie brak jest witamin grupy "B", a taki brak osłabia system nerwowy.

To głupie oskarżenie usiłowano podbudować mozolnym śledztwem. Zaczynało się po śniadaniu, a trwało do piątej po południu.

W ten sposób /to było zaplanowane/ niejako "byłam po obiedzie", więc omijała mnie cienka zupa więzienna i wodnista kasza. Otrzymywałam jednak posiłek wieczorny, który składał się przeważnie z rzadkiej kaszy. Chleb dawano tylko rano i trzeba go było dzielić do kolacji.

↓

Po kolacji znów mnie zabierano na przesłuchanie, i trzymano całą noc. Musiałam siedzieć sztywno na krześle, nie opierać się, ręce trzymać na kolanach. Wywoływało to potworne drętwienie, a w dodatku światło kierowano prosto w oczy. Stosowano systematycznie

↓

zwroty poniżające. Nie zwracano się do mnie inaczej, jak - "Rozkazywa<sup>ł</sup>, ty blać". Czasami używano jeszcze gorszych wyzwisk, których na początku nawet nie rozumiałam, bo na "wolności /?/" takich wyrażen<sup>ia</sup> rosyjskich mimo wszystko nie słyszałam.

Współwięźnierki z celi wiedziały, co się ze mną działo, bo przywożono mnie do więzienia i celi, gdy była pobudka. W celi tzw. "polityczni" - a ja się do tej kategorii zaliczałam, przebywali razem z kryminalistkami. Miała<sup>m</sup> jednak to szczęście, że polubiła mnie pewna bandytka mająca na sumieniu zabójstwa. Szczyciła się ona tym, że była córką przestępczyni i urodziła się w więzieniu. Miała jasny pogląd - że "prawdziwi ludzie, to by t o w i k i", czyli kryminaliści. Właśnie ci (Wszyscy mieli respekt w celi przed Akką, bo była faktycznie zdolna do wszystkiego. Ona zmuszała wszystkie więźniarki do ciszy pod hasłem: "Małczyć, bo Giena śpi!" - i one słuchały. Wtedy śledczy połapał się, że metoda wymęczenia nie przynosi rezultatu, bo jestem zbyt rześka - jak na jego doświadczenia w tej metodzie.

To było przyczyną, że przenieśli mnie do więzienia przy NKGB, położonego pod pokojami śledczymi. Tam też znalazła się wspomniana Irena Jackowska - usłyszałam jej głos. Zawołałam lekomyślnie: "Irena, ty też jesteś tutaj !?". Nie wiedziałam, że takie porozumiewanie jest zabronione. Dostałam dziesięć dni karceru.

Karcer był okropny. Był to budynek, stary, jeszcze z przed pierwszej wojny. Na górze były gabinety śledcze, a na dole wilgotne piwnice. Drzwi obito blachą - robiły wielki hałas, gdy je otwierano. Pełno tam było szczerów, które biegaly, a ja byłam ubrana tylko w lichą spódniczkę i bluzkę, i nie miałam nawet najmniejszej derki, żeby się okryć. W pewnej chwili szczer, gdy drzemałam, zaczął gryźć mi palec. Tak się przestraszyłam, że w szoku wdra-



pałam się na piwniczne okienko. Później chwytalam się, podskakując, za kratę i siedziałam tak, trzymając się kraty. Przychodził kot [redacted], i tak siedzieliśmy razem - a nie zjawiały się szczury. Przy tym podciąganiu się do krat, rozraniłam sobie kolana i uda. Gdy po powrocie do "normalnej" celi - zaprowadzono nas do łaźni, współwięźniarki myślały, że mnie straszliwie bito, bo miałam głębokie rany od tego wdrapywania się na to okno. W czasie pobytu w karczerze dostawałam 100 gramów białego <sup>- sucharek</sup> chleba i szklanek wody. Podłogę piwnicy stale polewano wodą - żeby nie można było się położyć.

Gdy tak się podciągałam, wtedy dochodziły mnie pieśni marszowe - i przechodzące kolumny, jak mi się zdawało /słusznie!/  
wojskowe. Spiewano: "Jeśli zawtra wajna, jeśli zawtra w pachod, <sup>budz</sup> (siewodnia pachodu gotow!". Byłam zdumiona tym śpiewaniem, a nie wiedziałam, że wybuchła już wojna radziecko-niemiecka.

Nie wiem, jak długo jeszcze siedziałam w więzieniu. Miewałam majaki. Słyszałam naokoło straszliwe jęki. Mnie, jak powiedziałam, właściwie nie bito. Raz kopak mnie jakiś Gruzin albo Żyd, sądząc po wyglądzie - który wziął mnie na śleuztwa. Kopak mnie po nogach i bił głową o ścianę, gdy mówiłam ciągle swoje, a nie to - co on chciał usłyszeć.

[redacted] Stosowano jednak także inną metodę. Najpierw lżono mnie od najgorszych wyuzdanym i wyrefinowanie brutalnym słownictwem /zaczynałam je już rozumieć/, a później przychodził taki Iwanow, zastępca naczelnika i z tonacją serdeczności, łagodności zaczynał swoje: "No, odpocznijcie sobie. Jesteście taka młoda, a szkoda marnować życia całego w więzieniu. Opowiedzcie wszystko uczciwie śledczemu. Nie trzeba się denerwować, nie bójcie się..." I zaczynał opowiadać bajki o perskiej księżniczce. Oczywiście wtedy jakoś tajałam, odpoczywałam, przenosiłam się w inny świat. Wreszcie mówił: "No, ale na mnie już czas..." Wychodził, wtedy zjawiał się

normalny oficer śledczy i zaczynało się brutalne przesłuchanie. Zawsze kładł rewolwer na biurku, i to należało do ceremoniału, jakby więzień mógł cokolwiek złego zrobić śledczemu. Chamsko przezywał, krzyczał, nie pozwalał siedzieć inaczej, niż według przepisu.

\_\_\_\_\_ Czasem jednak, oparty o biurko poprostu zasypiał. Ruszałam wtedy rękoma, przestały drętwieć, a za oknem wstawał świt, zaczynały śpiewać ptaki. Gdy śledczy budził się, zawsze zaczynał od obrzucania wyzwiskami.

Po dziesięciu dniach kraceru wzięto mnie na konfrontację. Jakaś Białorusinka czy Ukrainka /nie pamiętam już dokładnie/ w każdym razie wywieziona razem w naszym transporcie - świadczyła przeciwko mnie. Miała przy mnie zeznawać, że niby ja z tą moją współniczką rozwieszałam ulotki - a ona, jako lojalna obywatelka radziecka je zrywała, i my obie ją dlatego pobiliśmy. Zresztą to pobicie miało być przyczyną, że oskarżono mnie o ...terroryzm. Nawiasem mówiąc, gdy mi taki zarzut odczytał śledczy - powiedziałam mu: "Obywatelu naczelniku, wy pewnie nie rozumiecie znaczenia tego słowa...". On na to: "Milcz, ty taka i owaka". Więc przy tej konfrontacji śledczy pyta konfidentkę - "Czy wy ją poznajecie?" Ona odpowiada: "Tak, poznaję ją. Ona nazywa się Genowefa Ochnik i mieszka na posiołku nr. 27. Ona jest dziewczyną politycznie zepsutą do szpiku kości. Ona mówiła, że Polska będzie...". Na to śledczy niespodziewanie dla mnie z całej siły huknął pięścią w biurko. "Budiet, nie budiet, nie wasze dieło. Dawajcie dalsze!". Ona dalej plotka swoje głupstwa, a ja nie słuchałam, bo można było wszystko ryczałem zaprzeczyć, bo było kłamstwem. Natomiast nie mogłam zrozumieć, dlaczego śledczy trzasnął pięścią, gdy ona "zapodała" koronny zarzut o tym, że miałam mówić, że Polska na nowo powstanie. Taka wypowiedź w mniemaniu NKWD była wypowiedzią, to trudno nawet uwierzyć - kontrrewolucyjną, antyradziecką. To miałoby przestać funkcjonować jako koronne oskarżenie? Nie kojarzyłam jesz



cze wojennych śpiewów z reakcją oficera NKWD przy konfrontacji.

Wkrótce przeniesiono mnie do więzienia ogólnego, a wtedy dowiedziałam się, że wojna wybuchła kilka tygodni temu, a później o porozumieniu Sikorskiego z Majskim, i o tym - że wydano amnestię dla Polaków. We więzieniu w Akmolensku przebywało siedemnaście Polek, choć aresztowano ich więcej, lecz część już wysłano do łagrów. Jedną z naszych, pochodzącą o ile sobie przypominam z zachodniej Polski - podała po aresztowaniu, że jest narodowości niemieckiej, bo wyobrażała sobie, że przy porozumieniu po pakcie Mołotow-Ribentrop będzie jej lepiej. Tymczasem zmarła za kratami, bo amnestia obejmowała tylko obywateli polskich deklarujących narodowość polską. Nie odbywało się to jednak ani mechanicznie ani pośpiesznie. Do więzienia przyjechał prokurator i zapowiedział, że rozpatrzy sprawy polskich obywateli. Mnie zwolniono dopiero pod koniec listopada z pewną grupą, a jeszcze sporo Polaków zostało za kratami. Nie wiedziałam, że jeszcze tu wrócę.

Przed wypuszczeniem wzywano wszystkich "na rozmowę" do NKGB.

→ Oficerowie z NKGB powiedzieli: "My bardzo cenimy wasz charakter, waszą postawę. Nie mieliście się do czego przyznać, i wszystko jest w porządku. I tak być powinno". Tylko <sup>(11)</sup> Sniegobłocki <sup>(1.20)</sup> zapewne był bity i nie odporny, <sup>5</sup> w czasie śledztwa mówił, że ja z nim wspólnie podejmowałam działalność, choć nie precyzował jaką. Ja wtedy do niego po polsku: "Jurek, co ty pleciesz za głupstwa? To nieprawda!". On na to: "Tak, ona mówi prawdę. To co powiedziałem, jest kłamstwem". I po tym wszystkim proponuję mi, ponieważ "mamy wspólnego wroga, czyli Niemców, "nawiązanie współpracy". Odpowiedziałam, jak okazuje się każdy odmawiający takim "organom" mówił: "Przyjdę sama, gdy będzie coś nieprawidłowego, lecz niczego nie podpiszę, i do niczego się nie zobowiązuję. Musiałam tylko podpisać, że "nigdy w życiu" nie opowiem nikomu, o czym ze mną rozmawiano

i co tu w tych murach przeżywałam. Okazało się, że tego typu werbunkowe rozmowy prowadzono z wszystkimi, i przytkaczająca większość jednoznacznie odmawiała.

Natomiast pewna pani, która miała nieletniego syna, usłyszała - że "nigdy go już nie zobaczy", i ta podpisała zgodę na współpracę jako konfidentka. Pracowała później w Delegaturze Ambasady RP w Akmołeńsku, a zatrudniono ją - bo była żoną oficera. Pracowała doskonale jako urzędniczka, lecz szybko zorientowano się, że przeciekają wiadomości do "organów" i to takie, które jej właśnie były znane. Przesłuchano ją w Delegaturze i przyznała się, że podpisała deklarację donosicielską, i że ją szantażują teraz. Wtedy przyjaciele wysłali ją jako kuriera do Jangiulu - do sztabu polskiego. Tam mogła się czuć bezpieczna, lecz jednak już po wyjeździe z ZSRR, w Palestynie popełniła samobójstwo, choć okoliczności tego nie znam już zupełnie.

W więzieniu za pierwszym razem siedziałam z różnymi osobami. Obok mnie miała swoje miejsce spania nauczycielka radziecka, która była oskarżona z paragrafu 58 /czyli jako polityczna/ a następnie skazana za to, że wygadywała jakieś straszne "antypanstwo we rzeczy" na ZSRR. Bardzo nad tym cierpiała, bo uważała, że po dwudziestu pięciu latach pracy nauczycielskiej i zaangażowaniu w sprawę sowieckiego wychowania młodzieży, powinno się mieć do niej zaufanie. Okazało się, że doniosła na nią rywalka, która chciała zdobyć zarówno męża, jak i mieszkanie. Biedna ta skazana osoba zachorowała i wzięto ją do szpitala, i nie wiem, co się dalej z nią działo. Siedziały tam także dwie Niemki za to, że się modliły, gdy w tym czasie powinno chodzić koło bydła w oborze, a to bydło pozdychało - właśnie "z przyczyny nadmiaru modłów". O tym, że zabrakło paszy dla krów do śledczych wogóle nie docierało. Siedziały jeszcze para lesbijek, bo to była także działalność anty-sowiecka. Przebywała ze mną w celi także bandytka, która zamordowała jakiegoś profesora z jego panią. Była także jedną prostytut-



ka. Tragedia była z jedną z więźniarek, matką czworga dzieci. Podobno, stojąc w kolejce mówiła coś nieprzychylnie o władzy radzieckiej, i skazano ją na dziesięć lat. Powiesiła się. Strasznie rozpacziała po "wyroku", a mąż ją odwiedzał, paczki nawet przynosił. Takich mniejszych i większych tragedii było w więzieniu wiele.

Na śledztwo wożono nas samochodem ciężarowym okrytym plandeką. Jakoś im nie przeszkadzało, że w dużej ciężarówce jadę w pojedynkę, zużywają benzynę, jeden kieruje samochodem, a drugi pilnuje mnie. Śledczy mówił nieraz: "Zamiast z tobą tańczyć, to woź cię tam i spowrotem, siedzę całą noc, ..". Później wracał do swej normy i brutalizmu, lecz wydaje się, że często rozumiał bezsensowność działania "organów" i stosowanych represji.

Po opuszczeniu więzienia - na pożegnanie dostawali wszyscy zaświadczenie, że mamy prawo swobodnego poruszania się po całym terytorium ZSRR z wyjątkiem strefy wojennej kategorii pierwszej i drugiej, a więc terenów przyległych do frontu walki. Pojechałam do matki, by ją odwiedzić, lecz zakotwiczyłam się u mojej przyjaciółki Marysi Surackiej w Akmoleńsku; jej matka mnie przyjęła. Miała ona jako rodzina wojskowa jakąś pomoc, bo rozdzielano dary w rodzaju ówczesnej "UNRRY", zdaje się pochodzenia amerykańskiego /ciuchy, buty itd./ Niestety zaraziłam moją przyjaciółkę i jej matkę świerzbem przywleczonym z więzienia. Ślady na udach miałam jeszcze na studiach po wojnie. Później przeniosłam się na ul. Delegacką, gdzie mieszkałam z Żydówką - Różą Holcman /po 1958 r. adwokatem w Warszawie/. Tę wywieziono ze Łwowa, bo pochodząc z Włocławka czy Płocka - zapisała się na powrót, a więc do strefy okupowanej przez Niemców. Nie zdawała sobie sprawy wtedy /choć to dla mnie niepojęte/ co może ją czekać ze strony Niemców. Miała nieukończoną aplikanturę adwokacką. Róża prowadziła w Delegaturze Ambasady punkt spisujący ludzi wychodzących z więzienia. Ja siedziałam obok i spisywałam z jakiego więzienia, na ile lat był skazany; ona tymczasem załatwiała

dla nich <sup>Kartki</sup> (chleb. Był to jeden pokój i kuchenka - a wszystko niezwykle prymitywne : nie było podłogi, a tylko polepa. Leżeli na niej ludzie pokotem, kwaterowali parę dni - i jechali do armii polskiej. Ja po więzieniu cierpiałam na ropienie oczu. Nie wiem czy był to wynik infekcji i brudu, czy od światła w oczy przy przesłuchaniu ch nocnych. Rano nie mogłam wogóle otworzyć oczu. Róża kładła mi na oczy tampony z rana, i dopiero pó tym zabiegu mogłam je otworzyć. Odwiedziłam lekarkę, która przepisała jakieś przemywanie, a gdy opowiadałam o okolicznościach tego schorzenia, zmełła jakieś straszne przekleństwo na tych, którzy to wywołali.

Moja matka tymczasem została na posiołku. Matka pracowała tylko okresowo, bo jak zaznaczyłam, przeszła w dzieciństwie chorobę polio /Heine-Medina/ i jedną nogę miała nieco zniekształconą. Najczęściej kierowano ją do pracy przy wytwarzaniu samanów, lecz to była fizycznie także ciężka praca, a co do zarobku - to dawała tyle co nic. Ciężko pracując, nie można było sobie poprawić losu, a właściwie tylko pogorszyć, bo wysiłek wymagał odżywienia - którego brak. Samany wytwarzano w dość dużych formach, które trzeba było dźwigać, a jeszcze dowozić taczkami glinę z dość daleka. Ponieważ dostawałam z pomocy charytatywnej przychodzącej z USA nieco odzieży, dawałam ją matce, a ta zamieniała na żywność. W tych paczkach były używane płaszcze, jakieś buty po-wojskowe, już nieprzydatne dla wojska ze względu na jakość. To był bardzo dobry towar do zamiany na żywność. Moja matka i brat najmłodszy na posiołku nr. 27 mieli b. ciężko, i ten handel wymienny pozwalał im przetrwać.

Było tak, póki pracowałam w Delegaturze Ambasady - ok. cztery miesiące. Po pierwszej pracy - zaczęłam prowadzić kartotekę rodzin poszukiwanych. Delegaturze oddano do użytku budynek dawnej szkoły. Bardzo dużo ludzi wracało z obozów, z różnych miejsc gdzie ciężko było żyć ; szukali czegoś lepszego, a nie zawsze



znajdowali. Wracali na przykład z tajgi, szukali egzystencji na stepie, a okazało się - że łatwiej żyć w głębi tajgi, bo były jagody, grzyby, i można było upolować lub złapać w sidła dziką zwierzynę, a w stepie - była nędza. Przez Delegaturę przewijało się mnóstwo ludzi, najczęściej straszliwie znękanych, zabiedzonych, zastraszonych. Był korytarz i okienka, przy których przyjmowało się interesantów. Ja pracowałam w głębi tego biura, i wywoływano mnie do interesantów. Kiedy mnie wywołano - wyszłam, a na korytarzu stoi ów Iwanow, który w czasie przesłuchań opowiadał mi bajki o perskiej księżniczce - i jakiś inny cywil, którego nie znałam. Powiedzieli, żebym wyszła z nimi na dziedzińiec. Co miałam robić - wyszłam. O żadnej "współpracy" ze mną nie rozmawiali, żadnych informacji nie chcieli. Tylko parę zdawkowych komplementów, a także "grzeczności" - a nic ze spraw, które mogłyby ich, NKWDystów interesować. Poszli sobie, a ja pobiegłam prędko do sekretarza delegata, a ten odesłał mnie do szefa. Strasznie to przeżyłam, tę wizytę, bo zdawałam sobie sprawę po co oni przyszli: chcieli w ten sposób rzucić podejrzenie na mnie, a być może odciągnąć podejrzenia od właściwego informatora. Prosiłam delegata - szefa naszej Delegatury, by mnie zwolnił bo może zostać jakiś cień na mojej osobie. Nie zgodzono się na zwolnienie, prawdopodobnie dlatego, że dobrze rozumiano ów mechanizm mini-prowokacji. Ktoś, kto rzeczywiście byłby konfidentem, nie dawałby informacji wprost w biurze Delegatury lub przed nią, na oczach wszystkich.

Wkrótce zaczęło się niedobrze dziać. Przed budynkiem Delegatury zaczęły przechodzić systematycznie, parę razy dziennie oddziały wojskowe ze śpiewem, w którym zawarto takie słowa: "Pomni<sup>at</sup> psy-<sup>at</sup>atamany, pomni<sup>at</sup> polskie pany...". Oczywiście nie było to żadnym przypadkiem. Już wiele lat później uświadomiłam sobie, że był to okres narastania pewnych sprzeczności w polityce między rządem w Londynie, a Moskwą, i było to odbicie tych

różnic zdań w sprawie przygotowania czy nieprzygotowania armii polskiej pod wodzą gen. Andersa do walki, a następnie tzw. "pierwszej ewakuacji" w 1942 r. Oczywiście nie znałam wtedy przyczyn, nikt nas nie informował, lecz było jasne, że władze radzieckie przyjmują postawę wyraźnie niechętną, a w następstwie wrogą do polskich instytucji.

Wkrótce aresztowano zastępcę delegata - Tomaszewskiego. Delegat - Rola-Janicki, przybyły z Londynu, został w pociągu okradziony: zabrano mu teczkę z dokumentami, ale zdażył wyjechać, choć nie wiem, jakimi drogami. Aresztowano także sekretarza Delegatury Ambasady, mimo - że Delegat, jego zastępca i sekretarz mieli paszporty dyplomatyczne. Na czele stanął nowy człowiek. Był wdowcem - żona zmarła w Kazachstanie i opiekował się czwórką nieletnich dzieci. Dwa miesiące później - chyba w w lipcu lub sierpniu - także on został aresztowany.

Gdy tak wszystko niedobrze się toczyło, przyjechał wysłannik ze sztabu gen. Andersa, by zabrać kilka rodzin w celu ich zabrania do armii. Znalazłam się na tej liście, bo postarała się o to matka mojej przyjaciółki - pani Suracka. Okazało się, że niczego załatwić nie można, bo stosunki z władzami całkowicie się zepsuły, i wysłannikowi nie udało się uzyskać zezwolenia na listę proponowaną do ewakuacji. Wobec tego zdecydowałam się jechać na własną odpowiedzialność i ryzyko, bez zezwolenia - sama. Był to chyba sierpień. Dojechałam z tym wysłannikiem /chyba to był sierżant/ do Pietropawłowska. Tam zrobił on niepotrzebny ruch. Chciał mianowicie na liście ewakuowanych, nie potwierdzoną przez NKWD - pobrać chleb. Nie wiem, czy chciał zahandlować, czy zdobyć żywność na czas podróży? Zostawił mnie ze swoim bagażem, a ja siedziałam na ławce i czekałam. Przy tej próbie wylegitymowało go NKWD; podszedł blady, bo zdawał sobie sprawę, w co mnie wpakował. Kazali mu jechać - a mnie wylegitymowali i na-



kazali się zgłosić u nich. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że na pewno jacyś tajniacy lub tajniaczka będą mnie pilnowali. Pełna przerażenia pospieszyłam do Delegatury Ambasady w Pietropawłowski. Tymczasem tam był już policyjny "kocioł". Nie pamiętam już, jak długo nas tam trzymano, lecz w każdym razie zwolniono mnie z wieloma, choć chyba kilku pracowników aresztowano.

Poszłam do jakiejś jadłodajni, gdzie podano jakąś marną zupkę, a wtedy podeszła do mnie kobieta, która powiedziała, że jest Polką, że siedziała w więzieniu i chętnie mnie przenocuje. Okazało się później, że była to konfidentka. Nie wiem nawet czy była obywatelką polską czy nie, lecz po polsku mówiła dobrze. Rzeczywiście - przenocowała [redacted], lecz aresztowano mnie na ulicy. Tak trafiłam po raz drugi do więzienia, tym razem w Pietropawłowski.

Nie było tam wogóle prycz. Wszystkie spałyśmy na podłodze. Cella i reszta więźniarek - okropna. Byłam dobrze ubrana, bo miałam dobrą spódnicę, sweterek, buty, które dostałam z darów charytatywnych amerykańskich. Zginął mi jeden but, a ja na myśl o tym, że będę musiała pójść boso do ustępu, gdzie pełno robactwa - wpadłam wręcz w panikę. Płakałam histerycznie i prosiłam. Jedna ze złodziejek powiedziała, że napewno "wpadł do paraszy", czyli do za obiecany jej chleb kibla w celi. Wtedy jedna ze współwięźniarek szepnęła mi: "Skuchaj, twój but wzięła Murka /ta najgroźniejsza, prowodyrka celi/ ona czeka, że ty zgubisz drugi, to będzie miała parę." Byłam trochę naiwna: "Murka - powiadam - oddaj mi mój but, ja cię bardzo proszę!". Na to ona: "Ja jestem uczciwa złodziejka, która we więzieniu nie kradnie. Dobrze. Zgadzą się, żebyś zrobiła [redacted] rewizję, ale jeśli nie znajdziesz, to ja się z tobą policzę!". Brzmiało to groźnie, bo to był prowokacyjny chamski. Na swoje nieszczęście, zaczęłam przeszukiwać <sup>jej rzeczy</sup> [redacted], lecz buta oczywiście nie znalazłam. Wtedy ona chwyciła wieko od [redacted] i zaczęła mnie bić. Pewnie by zabiła, lecz inne więźniarki podniosły straszny krzyk.

Ja też krzyczałam przeraźliwie. Na korytarzu rozległy się gwizdki wpadli strażnicy, i natychmiast nas obie zabrano do naczelnika więzienia. Ten kazał przynieść moje akta - i jej. Przeglądał moje /siedziałam chyba już trzy tygodnie/ i zaklął. Później zorientowałam się, że mnie nie przesłuchiowano, bo nie było "żadnego paragrafu" - czyli osadzono bez żadnego posądzenia nawet o jakiś przestępczy czyn. Był tylko nakaz aresztowania bez podania przyczyn. Zaczął przepytawać o zajście. Ja byłam tak wszystkim zaszokowana, że nie umiałam się nawet wytłumaczyć o co poszło. Natomiast Murka z tupetem krzyczała: "Ona na mnie napadła, i biła...!". Wtedy ten naczelnik podszedł do niej i powiada: "Ona na ciebie napadła, a jest pobita, a ty nie !?!" i z całej siły trzasnął ją w twarz. Zemdlałam. Przenieśli mnie do celi "politycznych", a but się znalazł, chyba dzięki temu naczelnikowi, bo kazał zrobić dokładną rewizję w celi. Jakoś okazał się ludzki.

W nowej celi siedziałam z jakimiś Rumunkami, który chyba z Małdawii, przechodząc przez przeróżne "butyrki" czyli więzienia jechały do łagru, już całkowicie zrezygnowane. Były to bardzo kulturalne oraz inteligentne panie. W celi były prycze, choć tylko gołe deski - bez sienników. Stamtąd odtransportowano mnie do Akmołénska, czyli do punktu wyjścia.

Jechałam w zakratowanym wagonie, w przedziale przeznaczonym dla kilku osób-więźniów, a wieziono mnie jedną jako niebezpiecznego więźnia. To wogóle, według mojego rozezmania jeden z elementów folkloru więziennego w ZSRR, przynajmniej napewno z tamtych czasów: rozdmuchiwanie do niebywałych rozmiarów mini-spraw, lub spraw całkowicie zerowych. W Akmołénsku znów znalazłam się w celi NKGB, gdzie nie było światła dziennego - tylko stale paliła się ostra żarówka. Zastosowano najostrzejszy reżim więzienny. Nie wolno mi było spać w dzień, a w celi byłam sama. Gdy siedziałam, kazano mi wstawać i chodzić. Dzień- noc, dzień- noc - bez przerwy



śledztwo, przesłuchania niekończące się. Wymyślono paragraf ~~wzię-~~  
ty oczywiście całkowicie z powietrza: szpiegostwo. W krótkim  
czasie, jaki był "wolny" od przesłuchiwań, których charakter już  
opowiadałam, stał strażnik przy juda~~st~~tu w drzwiach. Gdy tylko  
zamykałam oczy - wpadał, i gwałtownie mnie budził.

W pewnym momencie na moją wąską pryczę dokwaterowano  
mi Rosjankę. Zapytałam, jak to zwykle między więźniami - za co sie-  
dzi. Mówiła, że za szpiegostwo. Powiedziała, że ma dwoje dzieci, i  
była kierowniczką sklepu. Mówiłam jej: "Dusia, ty się do niczego  
nie przyznawaj, bo to wszystkim przypisują. Bądź twarda!". Podtrzy-  
mywałam ją. W pewnym momencie zorientowali się, że ja ją podtrzymu-  
ję psychicznie - i zabrali do innej celi. Mnie zaś wsadzono do  
celi więźniów NKWD /NKWD = milicja, NKGB = służba bezpieczeń-  
stwa/. W celi siedziała Rosjanka, która mówiła, że kupiła kostkę  
masła i ją odsprzedała - co było spekulacją według "prawa" w  
ZSRR. Gdy to wszystko opowiadała, miałam okropną migrenę. Miewałam  
takie okropne bóle głowy, niemal traciłam przytomność i dochodzi-  
ły do tego torsje. "Wiesz, głowa mnie straszliwie boli, lepiej póź-  
niej porozmawiamy...". Chwilę później tę "spekulantkę" wezwano na  
przesłuchanie. Wtedy podniosło się okienko w drzwiach, przez któ-  
re ~~podawano jedzenie~~  
i strażnik kiwnął na mnie palcem, bym podeszła.

Powiedział szep-  
tem: "Ona poszła z t w o i m ś l e d c z y m ...". A później  
na cały głos zaczął kląć i udawać, że mnie lży. Był to w gruncie  
rzeczy wspaniały strażnik, bo ostrzegł mnie - że ta rzekoma współ-  
więźniarka siedząca za "spekulację" jest w istocie konfidentką  
i ma wyciągnąć ze mnie wypowiedzi antyradzieckie lub zwierzenia  
uzasadniające oskarżenia. Za wypowiedzi antyradzieckie karano  
w więzieniu podwójnie, bo to w ich NKWDowskiej filozofii oznacza-  
ło, że więźniarka jest niepoprawna, a jej myślenie jest nie do  
naprawienia - nawet w więzieniu zajmuje się ... "agitacją".

Odtąd już głowa mnie zawsze bolała, i nie wdawałam się absolutnie <sup>w</sup> żadne rozmowy z tą rzekomą spekulantką.

Gdy taki skonstatowano rezultat, zabrano konfidentkę <sup>mnę</sup> ~~o~~ przeniesiono do celi, gdzie znajdowała się Dusia. Wyglądała okropnie. Mówię: "Czemu ty tak wyglądasz?". Na to ona: "Bo ja się im już przyznałam". Odpowiadam: "Jak mogłaś się przyznać do czegoś, co nie popełniłaś. Masz przecież dzieci, nie myślisz o nich?". Ona mi na to ze smutkiem odpowiedziała: "Ja naprawdę byłam szpiegiem. U mnie była skrzynka przekaźnikowa..." I zaczęła się opowieść. Miała kochanka - Niemca, tylko nie pamiętam już, bo może nie pytałam, skąd się on wziął. Czy pochodził z miejscowych Niemców, albo był wysłany. Zresztą, kto wie, może Dusia też opowiadała wszystko fikcyjnie - choć co do tego mam raczej przekonanie, że naprawdę przyznała się. To było widać po jej stanie psychicznym. Więc on ją namówił do udziału w siatce szpiegowskiej; miała liczyć przejeżdżające pociągi oraz ich kierunek, ile wagonów itp. Sklep był przy stacji, więc to - mówiła - nie było trudne. Poza tym sklep był wygodną skrzynką przekaźnikową. Po raz pierwszy i jedyny zestknęłam się z pewnym prawdopodobieństwem, że ktoś rzeczywiście mógł być szpiegiem. Jak było naprawdę - doprawdy nie wiem, bo Dusię zabrano z celi.

Zostałam sama. Udało mi się przesłać gryps do matki. Z więzienia milicyjnego udało mi się zdobyć ołówek chemiczny. Napisałam i zaszyłam w bieliźnie, którą dawano rodzinie do prania. Matka wtedy mieszkała już w Akmoleńsku. Lecz nie była przemyślna, i nie przeszukała przed praniem bielizny - i spraka. Dopiero, gdy ołówek poplamiał bieliznę, zauważyła, wyjęła kartkę, i strasznie płakała, że nie mogła nawet tych kilku słów przeczytać. Zamiast więc uspokojenia, sprawił - jak się dowiedziałam później - tylko ból i nerwy. Odpisała mi do więzienia: "Córko, nie zdołałam nic odczytać". Taki list wysłała do więzienia //!. Byłoby to coś niesłychanie



Odtąd już głowa mnie zawsze bolała, i nie wdawałam się absolutnie<sup>w</sup> żadne rozmowy z tą rzekomą spekulantką.

Gdy taki skonstatowano rezultat, zabrano konfidentkę<sup>mi</sup> i przeniesiono do celi, gdzie znajdowała się Dusia. Wyglądała okropnie. Mówię: "Czemu ty tak wyglądasz?". Na to ona: "Bo ja się im już przyznałam". Odpowiadam: "Jak mogłaś się przyznać do czegoś, co nie popełniłaś. Masz przecież dzieci, nie myślisz o nich?". Ona mi na to ze smutkiem odpowiedziała: "Ja naprawdę byłam szpiegiem. U mnie była skrzynka przekaźnikowa..." I zaczęła się opowieść. Miała kochanka - Niemca, tylko nie pamiętam już, bo może nie pytałam, skąd się on wziął. Czy pochodził z miejscowych Niemców, albo był wysłany. Zresztą, kto wie, może Dusia też opowiadała wszystko fikcyjnie - choć co do tego mam raczej przekonanie, że naprawdę przyznała się. To było widać po jej stanie psychicznym. Więc on ją namówił do udziału w siatce szpiegowskiej; miała liczyć przejeżdżające pociągi oraz ich kierunek, ile wagonów itp. Sklep był przy stacji, więc to - mówiła - nie było trudne. Poza tym sklep był wygodną skrzynką przekaźnikową. Po raz pierwszy i jedyny zestknęłam się z pewnym prawdopodobieństwem, że ktoś rzeczywiście mógł być szpiegiem. Jak było naprawdę - doprawdy nie wiem, bo Dusię zabrano z celi.

Zostałam sama. Udało mi się przesłać gryps do matki. Z więzienia milicyjnego udało mi się zdobyć ołówek chemiczny. Napisałam i zaszyłam w bieliźnie, którą dawano rodzinie do prania. Matka wtedy mieszkała już w Akmoleńsku. Lecz nie była przemyślna, i nie przeszukała przed praniem bielizny - i spraka. Dopiero, gdy ołówek poplamiał bieliznę, zauważyła, wyjęła kartkę, i strasznie płakała, że nie mogła nawet tych kilku słów przeczytać. Zamiast więc uspokojenia, sprawiłam - jak się dowiedziałam później - tylko ból i nerwy. Odpisała mi do więzienia: "Córko, nie zdołałam nic odczytać". Taki list wysłała do więzienia /!/. Byłoby to coś niesłychanie

obciążającego, ale chyba nie traktowano mego "szpiegostwa" zbyt poważnie, więc nie szukano. W tym czasie miałam także konfrontacje w czasie tego prawie sześciomiesięcznego więzienia - sekretarzem Delegatury Ambasady, której już wtedy nie było, bo ją zlikwidowano. Oficer śledczy przy mnie pytał tego sekretarza - już całkowicie "opracowanego", jakie mianowicie zadania szpiegowskie dawał mnie. On ~~był~~ powiedział coś, że "kazalem śledzić..". Ale doprawdy nie pamiętam co wymienił, bo chyba mimo wszystko krępował się powiedzieć przy mnie - w oczy, więc bekkotał coś niewyraźnie. Powiedział także, że kazalem wykupywać mnie gazetę "Nowe Widnokreśli" /pismo wydawane wówczas przez Wandę Wasilewską/, żeby nie docierała do Polaków. Wtedy powiedziałam podniesionym głosem: "To wszystko, co pan mówi - jest nieprawdą. Pan kłamie!" Wtedy on się jakby ocknął i zdołał powiedzieć: "Ona mówi prawdę!". Wtedy nas rozdzielono, lecz tenże sekretarz Delegatury, którego nazwiska już nie pamiętam - nie wyszedł na wolność - był zapewne torturowany, spreparowany psychicznie w więzieniu - zmałknie nie odzyskawszy wolności.

Miałam także inną konfrontację, o której nie można nie wspomnieć. Aby udowodnić w NKGB moją "anty-radzieckość" przyprowadzono na moje przesłuchanie sekretarkę szefa Delegatury Ambasady - Izę Oskierczankę, z dość znanego rodu arystokratycznego Oskierkow z okolic Wilna. Iza była piękną, zgrabną dziewczyną, i gdy weszłam, siedziała przy oficerze śledczym w pięknej sukni w kratę. Była zadziwiająco elegancka, a ten z NKGB w obecności z-cy naczelnika NKGB /obwodowy/ Nowikowa powiedział tak oto: "Dlaczego nie jesteście tak praktyczna, jak Iza? Ona wkrótce wyjedzie sobie, gdzie zechce, a wasz upór doprowadzi was do długich lat więzienia! No?" Nic nie odpowiedziałam, a Iza Oskierko nie powiedziała na to nic, lecz przed tym "potwierdziła", że jestem anty-radziecka, że miałam wypowiedzi przeciwko władzy, i podawała, nawiasem mówiąc wymyślone okoliczności takich grzechów przeciwko państwu radzieckiemu. Poźniej, już po wojnie słyszałam, że Iza Oskierko wyjechała z Kazachstanu, i wylądowała w Argentynie.



Kiedy siedziałam w celi gmachu NKGB dość często słyszałam straszliwe jęki i odgłosy bicia. Ponieważ mnie nie bito, początkowo byłam przekonana, że te "odgłosy" są specjalnie reżyserowane, by wzbudzić grozę w innych więźniach. Mnie, jak powiedziałam już, tylko raz jeden ze śledczych kopnął i uderzył głową o ścianę. Okazało się, że NKGB stosowało różne "recepty" na uzyskanie takiego wyniku śledztwa, jaki sobie zaplanowano. Ja byłam traktowana metodami psychologiczno-nękającymi. Okazało się, że do niektórych stosowano doprawdy nieludzkie tortury.

Pewnego dnia po paru miesiącach wezwano mnie w celi, bym zabrała wszystkie swoje rzeczy i stawiała się u jakiegoś starszego oficera. Nazywał się on Grigoriew i zajmował się w całej "obłasti" czyli obwodzie /odpowiednik województwa/ sprawami Polaków. Byłam zaś osadzona nie w rejonowym NKGB, tylko doczekałam się rangi niejako wojewódzkiej. Tenże Grigoriew powiedział: "Siadajcie i podpiszcie!"

On już wiedział, że niczego nie podpisuję bez przeczytania, więc spokojnie czekałam, aż przestudiuję dokument. Ja zaś zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest to jakaś pułapka, bo takie nastawiano na więźniów, naiwnie cieszących się, że oto otwierają się bramy więzienia. Tylko cena tego bywała moralnie zbyt wysoka. Jednakże, jak się okazało, w przedłożonym dokumencie napisano, że jestem zwolniona z

aresztu na mocy "osoboje sawieszczanije" czyli "uchwały specjalnej". Nie wierzyłam swoim oczom. Przeczytałam uważnie jeszcze raz czy nie ma jakiejś zasadzki, bo człowiek wiedział, że czasem KGB zawierało w takich dokumentach jakiś ukryty haczyk. Podpisałam.

Wypuścili mnie w nocy, gdy na dworze szalała śnieżna zamięć. Chyba myśleli sobie, że najlepiej byłoby, gdyby mnie zawiązo. Był to chyba początek grudnia. Na szczęście

zdołałam dojść do jakiejś chałupy. Przycupnęłam, bo było mi okropnie zimno, i nie wiedziałam co ze sobą robić. Zaczął ujadać pies gospodarzy. Jakiś mężczyzna, jak się okazało - gospodarz, pozwolił przenocować w sieni, bo poprostu bał się wpuścić do domu. Był to Kazach. Rano zdołałam dojść do matki.

Mieszkaaliśmy z inną rodziną polską w Akmolensku. Było okropnie ciasno, lecz taniej wynosił opał, łatwiej było opłacić kwaterę, a nam przecież chodziło tylko o to, żeby przetrwać. Oczywiście zaczęłam się odrazu starać o jakąś pracę. Nie chodziło o to, by zarobić, lecz bez pracy człowiek w Kazachstanie, i zresztą wogóle w ZSRR był poprostu podejrzany. Tymczasem pracy nie mogłam znaleźć. Wezwano mnie do NKWD i powiedziano, że mam natychmiast szukać sobie roboty. Zaczęłam szukać jakiejś pracy umysłowej-urzędniczej, bo już było pewne rozluźnienie. Wezwano mnie znów do tegoż Grigoriewa "opiekuna Polaków". On zapytał, w jakiej instytucji mam zamiar pracować. Zadzwonił telefonem, powiedział, że dzwoni z NKWD i powiedział przy mnie: "Do was przychodziła Genowefa Ochnik. Ona więcej już tam nie przyjdzie!" Tak było dwa razy. Podjęłam więc pracę w spółdzielni pracy metalowców /"kartel metalistów"/, gdzie wyrabiano zapalniki do granatów. Praca była ciężka, bo wszystko wykonywano ręcznie.

Po pewnym czasie mnie, i moją koleżankę szkolną i przyjaciółkę Halinę Krysanę skierowano do wyrębu lasu. Podano nam za-



pewnie błędny adres. Pojechałyśmy na wymieniony w komandirówce numer "rozjazdu" czyli miejsca mijania się pociągów na jednotorowej linii; tam zawsze dyżurował kolejarz. On oświadczył, że nigdzie tu w pobliżu nie ma "lesoróbki". Chcąc - nie chcąc, choć może to i lepiej, bo "lesoróbka" była robotą nie dla dziewcząt i może byśmy się przy niej wykończyły, więc wróciłyśmy spowrotem. Wtedy oskarżono nas o to, że nie wyszłyśmy do pracy - jako bumelantki. Za to groziło conajmniej trzy miesiące więzienia. Broniliśmy się jak lwice przed tym najgorszym - zwłaszcza, że miałyśmy rację. Nasi "sędziowie" też o tym wiedzieli, bo nawet jeden z nich powiedział: "Tak, dziewczyny, macie rację i dla tego mimo wszystko dostajecie po trzy miesiące więzienia". Halina w celi była tak zdenerwowana, że bez przerwy spała. Po pewnym czasie jej matka poszła do wymienianego już Grigoriewa, że ma małe dzieci, i Halina jest jedynym żywicielem, prosiła - żeby zwolniono córkę. Nie wiem, po jakim czasie to było, bo trochę tej "kary" już odsiedziałyśmy. Wezwano nas i kazano pisać prośbę - odwołanie by nam karę zmniejszono. Inni więźniowie doradzali, żeby nie pisać - bo często dostaje się przy apelacji więcej, niż brzmiał wyrok. A pracowałyśmy w ogrodach NKGB, więc nie było tak źle w tym więzieniu - można powiedzieć, w stosunku do poprzednich zgoła sanatorium. Nie prowadzono także śledztwa, i w nocy można było spać, a nie biegać na przesłuchania. Napisałyśmy prośbę, no i nas zwolniono.

Dostałam wtedy paratyfusu, który przeszkam bardzo ciężko. O pracy fizycznej nie było mowy. Wracalam w 1943 r. bardzo powoli do zdrowia. Zarabiałam robieniem swetrów na drutach - oczywiście za jedzenie, głównie za trochę maki. My nie dostawaliśmy żadnych paczek, a rodzina z którą mieszkaliśmy dostawała z powstałego już marcu ZPP niewielkie paczki żywnościowe dla małych dzieci. My nie mieliśmy żadnej takiej pomocy. Mój młodszy brat wtedy chy-

pracował. Kradł klej, chyba stolarski, a matka to sprzedawała - za chleb, bo byliśmy głodni. W czasie mojego paratyfusu -----

leczyła mnie pewna lekarka - Koreanka. Radziła, by nie iść do szpitala zakaźnego, bo jestem osłabiona, a wtedy przyplącze się coś innego, i już nie wyjdę. Odwiedzała mnie bardzo często, i nawet przynosiła pół litra mleka od swojej krowy. Kiedy już wykaraskałam się z tego paratyfusu, chciałam jej coś zrobić na drutach, bo nie miałam czym zapłacić, ale nie chciała niczego przyjąć. Chciała by dobry uczynek był "czysty". Ona zresztą też była deportowana do Kazachstanu.

W tym czasie - późną wiosną 1943 r. zaczęto powoływać Polaków do wojska - pierwszej dywizji .

Poszłam do wojenkomatu, ale mnie nie przyjęli. Zresztą poprzez wojenkomat powoływali <sup>przedtym</sup> (także do armii pod wodzą gen. Andersa, chociaż był przy tym wówczas oficer łącznikowy, aby można było stwierdzić - czy powoływany jest obywatelem polskim czy nie.

Zanim opowiem, co było dalej, trzeba wrócić się w czasie o dwa lata. Chcę opowiedzieć ~~xxx~~ sędzie na posesji nr. 27 i o tym, jak odbyła się radziecka paszportyzacja. Najpierw o sędzie, nad przewodniczącym kołchozu, co znam z opowiadań b. dokładnych mojej matki i mojej przyjaciółki Haliny.

Otóż w czasie, gdy przebywałam w więzieniu - odbył się pokazowy proces. Urządzono go w "klubie" kołchozowym posesji nr. 27. Oskarżonym był przewodniczący zarządu kołchozu. Urodzaje były w tym roku dobre, lecz ich ze zrozumiałych przyczyn nie zdołano zebrać. Poprostu brak było rąk do pracy. Wogóle było tam mało mężczyzn, bo zsyłano głównie kobiety i dzieci, a w dodatku powołano mężczyzn do Armii Czerwonej w związku z wybuchem wojny. Być zresztą może, że ów "komendant" czyli rezydent NKWD nie otrzymał tego od przewodniczącego, czego oczekiwał - i doprowadził do procesu. Przyjechał więc sąd trzyosobowy, i przy ogólnym spędzie mieszkańców - odbył się proces. Mniejsza o akt oskarżenia, który zakończył



się tym, że "sędziowie" na oczach wszyscy poszeptali ze sobą i przewodniczący tego "trybunału" ogłosił wyrok: "Pięć lat obozu". Wtedy stała się coś dziwnego. Z tyłu sali siedział z rodziną dopiero co skazanego - syn. Był to student,

oczywiście komsomolec. Wstał i powiedział: "To za mało jak na takie czyny. Ojciec powinien dostać dziesięć lat, a nie pięć!". Wtedy "sędziowie" poszeptali ze sobą ponownie - i przewodniczący ogłosił nowy "wyrok": "Skazujemy na dziesięć lat!". Przewód sądowy się zakończył i cała rodzina - skazany i jego syn-oskarżyciel, zgodnie poszli do domu. Widocznie ojciec wiedział, że syn takim oświadczeniem ratuje się przed wyrzuceniem z komsomołu i ze studiów, i to jest ważniejsze - niż dodatkowe pięć lat obozu, bo i tak - kto idzie do obozu, to tylko co niektórzy wraca. Sama nie chciałam na początku wierzyć opowieściom mojej matki o tej sprawie, lecz Halina - osoba trzeźwa i dobrze obserwująca, potwierdziła w pełni całą tę historię.

• Różne dziwne rzeczy działy się z tzw. paszportyzacją. Właściwie "obywatelami ZSRR" staliśmy się z chwilą, gdy wezwano nas do udziału w wyborach a dokładniej w "głosowaniu", jeszcze na terenach Kobylnia. Ponownie dano nam radzieckie paszporty, których przykładowy oryginał zdołałam całkiem przypadkowo zachować - wydano nam po przyjeździe do Kazachstanu północnego. Gdy powstała Delegatura Ambasady RP w Akmoleńsku - wzamian za radziecki paszport wydawano nam dokumenty na papierze z wodnym znakiem /orzeł w środku i jakiś napis - chyba "Rzeczpospolita Polska"/. Był to format odpowiadający A-4 ze zdjęciem po lewej stronie. Napis po polsku i rosyjsku stwierdzał, że okaziciel niniejszego jest obywatelem polskim. Kiedy nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych przez rząd radziecki z rządem RP w Londynie, podstępnie wzywano Polaków do milicji. Zabierali wtedy dowody, które opowiedziałam, a wciskają do ręki paszporty radzieckie

Kiedy Polacy się o tym dowiedzieli, zebraли się wszyscy, ustawili się w czwórki // i tak szliśmy zbiorowo do więzienia. Stojący na ulicy pytali: "Polaki, kuda wy idiocie?". A na to my, głównie zresztą kobiety: "W tiumu!". Takiej manifestacji chyba nigdy nie było w radzieckim Kazachstanie.

Spośród tej kolumny wybrano Stanisławę Zawadzką, której zrobiono pokazowy proces i skazano na 2 lata więzienia /odsiedziała !// za odmowę przyjęcia paszportu radzieckiego. W ten sposób i ja trafiłam po raz kolejny do więzienia. Duża liczba kobiet i dziewcząt siedziała w obszernej celi. Działy się tam straszne rzeczy. Modlono się z ogromnym zaangażowaniem. Proszono Boga i Marię Pannę, by sprawiła - by Amerykanie wylądowali na podwórzu więzienia, uwolnili nas i zabrali ze sobą... Niektóre z kobiet na serio wierzyły w możliwość jakiegoś cudu.

Pewnego dnia zjawił się zwykły strielok /szeregowy NKWD// z karabinem i stanowczym głosem rozkazał: "Uchodit'ie!". Kobiety zbiły się w gromadkę przestraszone. On jeszcze raz, głośno krzyknął: "Uchodit'ie!" i strzelił z karabinu w sufit, a po tym od razu wymierzył karabin w nas. To wywołało straszliwą panikę. Wszystkie pchały się do wyjścia, jak która mogła najszybciej. Przy wyjściu z więzienia czekali już NKWDyści z gotowymi paszportami radzieckimi, a wokół strieloki z karabinami w ręku. W taki oto sposób znów zostaliśmy obywatelami ZSRR - chyba po raz trzeci. Nie wiem, czy jeszcze w jakimś kraju <sup>na świecie</sup> w ten sposób nabywano obywatelstwo. Związek Radziecki jest krajem wszelkich, jak się okazuje - możliwości. Paradoksem także stało się, że mając paszport radziecki - zostałam żołnierzem Wojska Polskiego. Na początku wprawdzie w wojenkomat'cie powiedzieli - gdy się zgłosiłam: "A wy co, kontrrewolucję chcecie szerzyć w polskiej armii?" Po paru tygodniach dostałam normalne powołanie.



Sformowano w wojenkomatcie "transport", dano komandirówkę. Dojechaliśmy w mieszanej grupie mężczyzn i dziewcząt do stacji Pietropawłowsk, nawiasem mówiąc - znany mi już z wcześniejszych przeżyć aresztanckich. Wszyscy spali na pośadce, bo inaczej nie można było, a czekało się całymi dniami w tym starym dworcu kolejowym z czasów carskich - na możliwość transportu w kierunku zachodnio-północnym, jak wyznaczona była marszruta. Chyba koczowaliśmy tam wielką gromadą więcej niż dwa tygodnie /!/. Wreszcie pojechał pusty pociąg sanitarny, który odwiózł na tyły ciężko rannych żołnierzy i wracał po nowy transport. Zabrano nas - i w ten sposób dość wygodnie, a na stosunki wojenne w zgoła komfortowych warunkach do stacji Diwowo. Była to mała stacyjka, ale jakoś swojska, bo krajobraz przypominał nam wszystkim Polskę: las, pagóreczki, wijąca się między polami rzeczka, a nad nią trochę drzewek, chyba lebrzym i wierzby rosochatych. Tak na pierwszy rzut oka, po tych suchych lub mroźnych stepach, tak się nam wydawało, był to powrót do normalnego świata.

Pierwsza noc na słomie, w dużych namiotach. To był początek października 1943 r. Odbiliśmy - same dziewczęta - pierwszą zbiórkę żołnierską. Jakiś poczciwy starszyna, który znał wprawdzie jako tako język polski, lecz komenderować potrafił tylko po rosyjsku. Nieco spolszczył komendę i rozkazał gromadzie dziewcząt:

"R o z b i e r a j c i e            się trójkami!"

My wszystkie w śmiech. To oczywiście oznaczało, że mamy się ustawiać trójkami, a nie rzeczywiście "rozbierać się". Trochę ten starszyna był zakłopotany, ale nic. Szliśmy już w szeregu do Sielca, a tam rozpoczęła się segregowanie, badanie lekarskie. Mnie chciano na początku odesłać do domu, bo zdrowotnie byłam bardzo licha. Pomogła mi bardzo p. Sztachelska, osoba bardzo troskliwa i opiekuńcza wobec nas. Mam ją we wdzięcznej pamięci, że dzięki niej nie wróciłam spowrotem do strefy głodu na stepach Kazachstanu.

Początki służby wojskowej były ciężkie. Trzeba było myć k podmarzniete kotły, obierać kartofle /które jednak były !/odbywać ćwiczenia, przede wszystkim z musztry. Niektóre wyobrażenia z regulaminu wojskowego nie docierały do nas. Przeżyłam takie wydarzenie, które dziś wydaje się mi zabawne, lecz wówczas - w tamtych czasach doprowadziło mnie do rozpacz. Otóż wezwał mnie w jakiejś sprawie dowódca - por. Mac /może już był kapitanem ?/. Pukam do jego ziemianki. Słyszę : "Proszę wejść !". Wchodzę, mówię grzecznie - "Dzień dobry ". Wtedy słyszę w odpowiedzi : "Wynoście się !". Nie byłam przeszkolonym żołnierzem, i poprostu pomyślałam sobie, że to straszny cham, skoro jakby nie było - dziewczynę tak brzydko traktuje. Jeszcze nie doszłam do swojej ziemianki, już mnie wezwano ponownie. Znow to samo. Pukam, wchodzę, mówię grzecznie "Dzień dobry" - i słyszę ponownie "Wynoście się!". Już mam łzy w oczach, gdy wszystko powtarza się po raz trzeci. Wtedy por. Mac decyduje, że mam dwie godziny ćwiczyć prawidłowe zameldowanie się u dowódcy. Tę naukę zlecono jakiejś drużynowej - kapralowi, a ona pewnie była wściekła, że ma mnie przez dwie godziny popędzać. Kazała mi chodzić od drzewa do drzewa, stawać na baczność i wyrecytować: "Obywatelko sosno, melduję swoje przybycie... Obywatelko sosno, melduję swoje odejście ...". Okropne dla dziewczyny-cywila.

Wkrótce zaczęto sprawdzać poziom wykształcenia kandydatek. Miałam małą maturę, więc posłano mnie do szkoły podoficerów polityczno-wychowawczych. Tak w przyspieszony sposób zostałam tzw. "oficerem bez stopnia" czyli zastępcą dowódcy kompanii fizylierów do spraw polityczno-wychowawczych. Nosiło się mundur oficerski - bez dystynkcji. W takim charakterze odbyłam zimowe manewry, połączone z długim marszem, który nam wydawał się niekończącym się. Wspominam to, jako gigantyczną drogę przez mękę, bo zadanie marszowe faktycznie przekraczało przeciętne siły dziewcząt Batalionu Kobiecego, choć chyba także



także żołnierzy-mężczyzn. W tym zimowym marszu-przy dużym mrozie, śniegu - nie było żadnego postoju. ZasyPIaliśmy w marszu. Wiele dziewcząt kucalo w śniegu, i też zasypiały. Trzeba było mocno <sup>tar</sup> mosić, żeby dobudzić - a sen mógł się skończyć raz na zawsze. Mnóstwo dziewcząt zaskabło po drodze. Niektóre "rozśrodkowano" do wiosek. Trasa była chyba z 30 kilometrów, wykonana w pełnym obciążeniu, z plecakiem-racją żywnościową, zapasowym magazynkiem do pepeszy, pepesza z magazynkiem, maska gazowa i łopatka. Bez odetchnienia - trzeba było z marszu przystąpić do kopania okopów w zmarzniętej ziemi... To było chyba akurat w czasie Świąt Bożego Narodzenia, co jeszcze psychicznie pogłębiało sytuację.

Wkrótce po tym wytypowano mnie do szkoły oficerskiej. Miałam duże wewnętrzne opory - czy zgodzić się na to "polityczno-wychowawcze" szkolenie na wyższym poziomie. Konformizm wziął górę, i zgodziłam się. Wykładali nam różni ludzie znani później z nie-najlepszej strony - jak Berman, Wierbłowski, Skrzyszewski, Minc - a brakło choćby jednego wykładowcę, który byłby Polakiem. Ten skład wykładowców, pochodził oczywiście z układu narodowościowego w b. KPP, gdzie przecież połowa aktywu a conajmniej 25% członków była pochodzenia żydowskiego.

Najprzód mieszkaliśmy na ul. Arbackiej w koszarach. Później wyekspediowano nas do namiotów pod Moskwę. Był to maj 1944 r. - a w namiotach było wręcz potwornie zimno. Koce były pojedyncze, płaszczem nie wolno się było nakrywać, a (na szkole było 10 dziewcząt/ kojki niestety wąskie. Próbowałam spać po dwie razem, żeby były dwa koce, lecz jednak nie było to wygodne, bo za wąsko. W rezultacie takiego spania powstało dużo przeziębień, a nawet zapalenia płuc - i zezwolono okrywać się także płaszczami.

W czerwcu zostaliśmy już wyszkolonymi oficerami. Miałam czołową lokatę, i dlatego zostałam od razu podporucznikiem, omi-

jęjąc wówczas najniższy stopień oficerski - chorążego.

• Różne były losy naszych kolegów już w PRL. Jeden z nich, będąc na Pradze - ppor. Woźniak, skontaktował się w jakiś sposób z żołnierzami AK. Jaki charakter tego kontaktu był - nie wiem. Został rozstrzelany. Inny spotkał mnie w Lublinie /później był ministrem przemysłu spożywczego i skupu I/ i zaciągnął do jakiejś kawiarenki, bo chciał się wygadać; opowiadał, że w straszliwy sposób przesłuchuje się żołnierzy AK, a jego szef - gen. Zawadzki, którego był adiutantem, sam uczestniczył i strzelał... Był tak rozdrażniony, że wypił alkohol, żeby się uspokoić. Chciał się przed kimś wygadać; wątpię, by to szczere wyznanie było czymś nieprawdziwym. Mimo, że była to szkoła oficerów polityczno-wychowawczych, nie zaobserwowałam, żeby w trakcie szkolenia były donosy. Typ szkolenia polegał na wyrabianiu "politycznych odruchów", a więc wpojania, że rząd w Londynie to jest "zdrada" spraw polskich a to, co się dzieje w ZSRR - wyzwoleniem kraju i szczęściem Ojczyzny. Szkolono nas w podstawach marksizmu, choć - jak później stwierdzić mogłam - były to mocno zwałgaryzowane i uproszczone tezy. Wydaje się jednak, że na ówczesne potrzeby - mogły być dla organizatorów tej szkoły przydatne. Sporo było na kursie przedwojennych KZMPowców i KPPowców. Nie wszyscy spośród nich zrobili w Polsce wielką karierę, jednakże - z tych co wiem - jeden był wysokim funkcjonariuszem UB /nawet szefem WUBP w Poznaniu w czasie, gdy studiowałam na Uniwersytecie Poznańskim zaraz po wojnie/. Inna koleżanka ze szkoły była szefem gabinetu ministra bezpieczeństwa publicznego - Radkiewicza. Inna wyszła za mąż za wysokiego funkcjonariusza bezpieczeństwa / był w pewnym okresie szefem WUBP w Olsztynie/. Inny był już bardziej obywatelskim pracownikiem - dyrektorem Polskiego Radia w Poznaniu. Byli też ludzie o później wyraźnym nastawieniu krytycznym do swego pobytu w ZSRR - jak zmarły w 1987 r. ppor. Szkodziński. Inny z kolegów był komentatorem radiowym - red. Sawicki, nawiasem mówiąc bliski kuzyn



kuzyn Róży Holcman, którą już wymieniłam. Ona, to na marginesie, została w oparciu o donos - aresztowana w Kazachstanie jako "szpieg niemiecki". Był to całkowity, absurdalny surrealizm: Żydówka, która w Kazachstanie staje się szpiegiem niemieckim /!/. Przesiedziała w tzw. "Karkagu" aż do 1957 roku, a [redacted] po powrocie do Warszawy została adwokatem. W 1981 lub 82 wyemigrowała do Szwecji za córką, która urodziła się w "Karkagu".

Po ukończeniu szkoły byłam skierowana do Żytomierza, gdzie miał się formować batalion kobiecy z dziewcząt z Podola, Wołynia i tamtych regionów. Byłam tam razem z późniejszą przewodniczącą Ligi Kobiet - Stanisławą Zawadecką /wyemigrowała zaraz po 1968 r./. Wtedy była podporucznikiem, jak i ja - lecz była starsza, bardziej doświadczona i oczywiście ona wiodła prym. Tu należałoby opowiedzieć zabawną historię. W pewnym momencie na terenie "koszar" tego babskiego oddziału - jedna z "trekrutek" zaczęła wić się w bólach. Dziewczyny krzyczały, że trzeba wezwać lekarza. Zawadecka pochyliła się: "Dziewczyno, ty rodziś! A ta uderzyła się w piersi: "Pani porucznik, jak boga kocham, nie... Ja jeszcze nigdy... Nieprawda!". No więc mnie przypadło w udziale przywołać lekarza. Akurat był nalot niemiecki. Miałam sporo kłopotów, lecz ostatecznie lekarza przywiozłam jakimś samochodem - choć wyszłam na piechotę, bo samochodu nie było. Gdy przyszedliśmy z podporucznikiem Zawadecką do izby, gdzie miała przebywać chora, dziecko już płakało. Było po wszystkim. Wtedy Zawadecka pochyliła się i mówi: "To jednak byliście w ciąży, co? A ta biedna położnica: "Chyba tak, pani porucznik".

Trzeba wyjaśnić, że dziewczyny z wymienionych już regionów koniecznie chciały iść do wojska, bo było niebezpiecznie zostawać na terenach napastowanych przez ukraińskich faszystów, którzy palili wsie, mordowali w okrutny sposób mieszkańców. Ciężę [redacted] - jakoś ukryła. Później dziewczyny zaczęły szyc

dla niemowlaka - cały oddział: pieluszki, kubraczki, jakieś prymitywne śpioszki.

Z Żytomierza, gdzie przez pewien czas kwaterował sztab WP, sztab przeniósł się z innymi jednostkami do Lublina. W ten sposób raz w życiu zostałam dowódcą dość dużej kolumny samochodowej. Jak się ją prowadzi, nie bardzo wiedziałam, lecz wszystko się udało dobrze. Był to już sierpień 1944 r.

W Lublinie skierowano mnie do Głównego Zarządu Politycznego jako "instruktora propagandy artystycznej". Oczywiście nie miałam zielonego pojęcia o co w tym chodzi, ale takie były czasy, że trzeba było robić tylko to co kazano. W dodatku atmosfera mi zupełnie nie odpowiadała. W czasie pracy w GZP wysłano mnie do szpitala. Leżały tam na oddziale kobiety-żołnierze. Pamiętam - jedna z amputowaną nogą, z amputowaną dłonią - a w ciąży: mąż poległ. Pełna była głębokiej rozpacz. Takich młodych, okaleczonych straszliwie kobiet było dużo. Przeżyłam straszliwy szok, i wtedy poprosiłam o skierowanie właśnie do szpitala. Zostałam pełnym porucznikiem i otrzymałam nominację na Z-cę komendanta szpitala ewakuacyjnego nr. 64 do spraw polowych. To też była ryzykowna nominacja - młodą dziewczynę posyłać na etat przewidziany dla podpułkownika. Jednak zarówno zestaw lekarzy polskich, jak i nie wtrącanie się do naszych "polskich spraw" przez radzieckich oficerów i lekarzy w szpitalu - spowodował, że atmosfera była bardzo dobra. Nawet można było ukryć żołnierzy ruchu oporu /AK/, których w tamtym czasie wszędzie poszukiwano i węszone za nimi.

Na początku 1945 r. cały szpital ewakuacyjny nr. 64 przeniesiono do Bydgoszczy, gdzie przebywałam do listopada 1945 - prosząc o zwolnienie w możliwie szybkim czasie. Zapisalam się na studia w Poznaniu, zdając równocześnie eksternistyczną maturę.



Co z losami mojej rodziny ?

Matka wróciła w połowie 1946 roku straszliwie zabiedzona. Z Kazachstanu przetransportowano ją do Charkowa , gdzie węgowała marnie. Posyłałam jej z wojska paczki. Brat został powołany do służby wojskowej w WP /ten najmłodszy/ i był na froncie pod Warką. Później , już po wojnie dostał się - mimo braków wykształcenia, na moją interwencję u dowódcy tejże - do szkoły oficerskiej-samochodowej. W 1951 r. doszukano się niedobrej ankietowej przeszłości /ojciec !/ i go zwolniono, lecz po paru miesiącach ponownie zmobilizowano. Był porucznikiem WP do 1955 r. Brat Kazimierz zginął w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach w 1946 roku - na samym początku. Prawdopodobnie zabito go w lesie niedaleko wsi Jeleniec, jak mówili po trzydziestu latach świadkowie. Były to niejasne przyczyny i okoliczności, których nie zdołałam do końca wyświecić. Brat Marian walczył w Afryce, Włoszech - i wyemigrował do Kanady.

Reszta moich wspomnień już nie należy do kategorii "syberyjskich", więc na tym urywam je.

---